

Edmond Jaloux

Zmierzch pięknego
dnia

Rozdział 1

Po tak długiej rozłące przewidywałem, że w Joachimie Premerym nastąpić musiała znaczna zmiana. Okazało się jednak, że nie odgadłem wcale jej istoty.

Oczywista, czas w swej bezmyślnej zawziętości nie oszczędził tego pięknego oblicza, przerzedził włosy nad czołem, wsączył pod tę zwykłą bladość cery jakiś odcień miedziany zapalając w źrenicach niespokojne, migotliwe błyski. Lecz nie to było najważniejsze .

Myślałem o tym w pociągu wiozącym mnie z powrotem do Paryża. Przy powitaniu z Joachimem również nie zauważyłem osobliwszej zmiany; witał mnie jeszcze serdeczniej, jeszcze bardziej wylewnie niż przed moim wyjazdem na Daleki Wschód. Korciło mnie jednak by spytać, czy w tej jego uprzejmości nie kryło się coś sztucznego; to zresztą również niczego nie dowodziło.

Tego rodzaju przemianę łatwo można było wytłumaczyć. W ciągu lat dwudziestu ten stary przyjaciel mego ojca, dawniej znany z nazwiska najwyżej tysiącu osobom, został jednym z pierwszych pisarzy świata, najświetniejszą gwiazdą literacką swego kraju, jedną z tych postaci, które w dalekich odstępach czasu pojawiają się na horyzoncie jako wykładniki potęgi umysłowej całej rasy ludzkiej. Fakt, iż człowiek tak niezmiernie bogaty w geniusz liryczny zwrócił się równocześnie z takim zapalem ku metafizyce niejednego mógł zadziwić. Joachim Premery władał dwoma światami nie posiadającymi wspólnej granicy. Filozofia, którą sformułował, była przedziwnie śmiała, choć zaledwie dopiero naszkicowana.

Mimo olbrzymiej sławy Joachim Premery nie wyzbył się swej prostoty i skromności. W pisarzu, dziś otoczonym zbytkiem, odnalazłem surowego, wytrwałego pracownika,

który ongi spędzał swe niedzielne wieczory w towarzystwie mego ojca, a utrzymywał się wówczas z renty tak niskiej, że żył niemal w nędzy. Nie, zmiana, jaką konstatowałem, dotyczyła dziedziny wewnętrznej, intymnej, co właśnie tym bardziej utrudniało mi wyśledzenie jej przyczyny.

Przebiegłem pamięcią poszczególne tematy naszej rozmowy. Wspomniałem, z jakim wzruszeniem Premery mówił o studiach biologicznych mego ojca oraz o swym do niego przywiązaniu.

- Pamiętasz - mówił - w Rozkoszy poniżenia rozdział, w którym moja bohaterka rozwodzi się z mężem szlachetnym i wspaniałym, którego kocha i z którym ma syna idiotę, aby poślubić uczonego, którego charakterem pogardza? Nie byłbym z pewnością nigdy tego napisał, gdybym nie był zbadał wspólnie z Ernestem Volpelierem tyłu przekroi komórek.

Słowa te, wyznaję, zdziwiły mnie, gdyż nie umiałem dostrzec analogii, jaką miał na myśli Premery. Rozpytywałem potem o Indie, których nie znał, jak mi zaznaczył, i w dziesięć minut naszkicował ich obraz żywszy niżeli ów, jaki miałem w pamięci po trzykrotnym pobycie. Wyraziłem zdumienie tę jego erudycją.

- Moja erudycja! - odparł ze śmiechem. - Ależ to wszystko to tylko formułki z encyklopedii! Ha, gdyby człowiek posiadał o dwie, trzy możliwości więcej, myślenie stałoby się zajmującą funkcją.

- Jakież to możliwości?

- O, nie mówię już o czwartym wymiarze. Ale, ot, jakże cenne byłoby postrzeganie pracy, jakiej dokonują nasze pomysły, gdy ze stanu nieświadomego przechodzą ku świadomości. Mniemam, że w nieświadomości są piękniejsze, że żyją tam życiem bogatszym, promienniejszym, podczas gdy odślanając się w świetle naszego badania tracą swą

kwiecistość, jak wydobyte z wody meduzy. Nieraz usiłowałem podchwycić tę promiennność intelektu. Prawie nigdy mi się to nie udawało, po stokroć natomiast miałem sposobność obserwowania własnego zubożenia. Czyż nie zastanowił cię nigdy fakt, iż w pewnych snach, odzwierciedlających dobrze ci znane wzruszenia, odczuwałaś je z intensywnością wyjątkową? Nasza wyobraźnia twórcza musi być równie bogata i podobnie ubożać.

Tak oto najbliższa uwaga zwracała umysł Joachima ku labiryntowi zagadnień, w którym trudno mi było za nim nadażyć. Chcąc zmienić temat rozmowy, wspomniałem o jego córce, zamężnej z kontradmirałem de Jaulgonne.

- Ujrzysz ją tu w którąś niedzielę - rzekł Premery. - To figura! Skąd u licha wzięło się w niej to namiętne przejęcie się hierarchią społeczną? Nie odziedziczyła tego po mnie, to pewne! Niemniej to kobieta inteligentna.

- Czy ma dzieci?

- Czterech synów - zawołał, śmiejąc się.

Dowiedziałem się później, że pani Jaulgonne w rzeczywistości miała tylko trzech synów, ale Premery często wspominał o tym fikcyjnym potomku, drażniąc córkę owym żartem. Była to zresztą jedyna złośliwość, na jaką sobie względem niej pozwalał i przypuszczam, iż później wypadło mu tego pożałować!

Pogrążony w rozważaniach, dotarłem do Dworca Inwalidów, nie posunąwszy się ani o krok w toku mych dedukcji.

Wizyta u Joachima Premery'ego wskrzeszała najdawniejsze moje wspomnienia. Jakże daleko od mej obecnej egzystencji biznesmena, w której mieszało się tyle rozmaitych przedsięwzięć i ciemnych indywiduów, jakże była daleko ta młodość pilna, żadna wiedzy, młodość spędzona przy boku pracowitego, małomównego biologa oraz matki

będącej doskonałym wcieleniem ducha burżuazji francuskiej ze wszystkimi jej zaletami i wadami! Nieraz, gdy tam, w Indochinach, wspomniałem owe ciche lata, obraz ten wydawał mi się ciasny, duszny niby izba długo nieprzewietrzana. Dziś oto nagle wręcz przeciwnie, właśnie to moja obszerna siedziba w Sajgonie, pełna zbędnej wrzawy i licznej służby, wydawała mi się objęta martwością, zaś nasze skromne mieszkanko przy ulicy Gay - Lussaca ożywało, pełne pogody i tętniące wewnętrzną ruchliwością. Czy zawdzięczałem ten cud kilku zdaniom wypowiedzianym przez Joachima Premery'ego, czy też w jego obecności, stając się na nowo uczestnikiem minionej epoki, odczuwałem cały jej czar?

Obok Joachima ożywał przede mną cień mego ojca z tym jego spojrzeniem krótkowidza, spojrzeniem, w którym zarysy świata wydawały się równie niepewne, skłębione i ruchliwe jak bakterie w retorcie oraz cień mojej matki, dla której najzwyklejsze cechy życia domowego urastały do godności surowych cnót. Stawały mi w pamięci szczegóły od dawna zapomniane: ot, na przykład, stary zegar albo wzorzyste, wypukłe kwiaty na genueńskim aksamicie, zdobiącym nasze fotele, starannie zakryte pokrowcami.

Ten przedziwny powrót wspomnień zabarwił moją dawną przyjaźń dla Joachima odcieniem jakiejś tkliwej wdzięczności.

Pragnąłem widywać go często, niby kustosza w cennym muzeum odmykającego coraz to inną gablotkę.

* * *

Podczas drugiego spotkania z Joachimem Premerym niewiele się więcej dowiedziałem. Zostałem zaproszony na śniadanie w najbliższą niedzielę. Przybywszy na miejsce zastałem już grono gości. Bez trudu poznałem panią de Jaulgonne, którą nieraz widywałem za jej panięńskich czasów; zwiędła blondynka o cerze przezroczyściej przypominała owe larwy gładkie i kruche, które pozostają na trzcinach

nadwodnych, gdy świetlista ważka już wyfrunie. Przedstawiła mi swemu mężowi; był to człowiek dobroduszny i roztargniony, patrzący zawsze w dal, gdzieś ponad głowę rozmówcy, wejrzeniem właściwym ludziom, którzy przez długi czas obserwowali morze. Natychmiast zaczął rozmowę o Indochinach, gdzie, jak zapewniał, spędził najpiękniejsze lata swego życia. Zadał mi mnóstwo pytań, lecz nie mógł poznać w opisywanym przeze mnie kraju owej ziemi dziewiczej i wspaniałej urokiem dzikości, którą znał ongiś.

- Tak - konkludował melancholijnie. - Jestem jednym ze sprawców tej zbrodni. Czymże będzie świat za lat pięćdziesiąt? Szczęściem, że nie będę tego oglądał! Muszę jednak stwierdzić, iż moi synowie doskonale przystosowują się do nowego ładu: telefon, winda i kaloryfer - oto według nich organa równie niezbędne, jak wątroba albo nerki. Malowniczość wszechświata jest im obojętna. To zresztą dla nich raczej dogmat niż rzeczywistość, starszy mój syn bowiem z ochotą wiedzie twardy żywot na pokładzie.

Wskazał mi dwudziestoletniego dryblasa wystrojonego jak manekin w witrynie. Na jego twarzy malował się wyraz chłodnej wyniosłości i owej tak właściwej niektórym kastom troski o zachowanie godnej postawy. Młodzian powitał mnie zdawkowym ukłonem, po czym zajął znów swój posterunek obok oszklonych drzwi, przez które widać było szmat ogrodu odzianego w świeżutkie szaty kwietniowe.

Pośród zebranych w jego domu gości Premery wydał mi się jeszcze bardziej zmieniony, niż kiedy przebywałem z nim samowtór. Jadł i rozmawiał z jakąś powściągliwością i monotonią, jak gdyby miejsce dawnego Joachima pełnego werwy i ożywienia zajął jakiś osobnik sztywny, skostniały, niemal automat.

Zastanawiałem się, czy to znudzenie, czy też coś w rodzaju utajonej dumy?

Jeden z zebranych perorował zawzięcie; był to Jan Pierrotey, redaktor wydawnictwa „Epoka”, rosły starzec o krzaczastych brwiach, odziany niedbale. Jego dowcip, inteligencja, tudzież szereg jakichś niewyraźnych spraw, w których zresztą nic oprócz honoru nie stracił, wyrobiły mu olbrzymią popularność.

Rozmowa nagle przybrała charakter ogólny, jak gdyby polityka była alkoholem, który każdemu rozwiązał język. Pani de Jaulgonne wykrzykiwała głosem piskliwym, górującym nad powszechną wrzawą; admirał popierał ją dość miękko, gdy jakaś tyrada wywoływała oburzenie redaktora lub wybuch śmiechu Adriana Milne'a, który skulony na swym fotelu, wypiąwszy brzuch i zmrużywszy chytre niczym u słonia oczka błyszczące w szerokiej pomarszczonej twarzy, na srogie wypady pani de Jaulgonne i pełne hipokryzji frazesy redaktora „Epoki”, odpowiadał kanonadą konceptów, na ogół dość dowcipnych. Hektor de Jaulgonne kilkoma oschłymi słowy zaznaczył swe niezadowolenie zabiegając o względy starego pismaka, przyjaciela wszystkich ministrów. Dwie tylko osoby milczały: sekretarz Joachima oraz młody człowiek nazwiskiem Aleksander Girval. Ten początkujący adept zyskał był już sobie względy mistrza. Jego krzepka postać, pogodny wyraz twarzy, jasne czoło, jakieś połączenie mocy z niewieścią subtelnością od pierwszej chwili zniewalały zresztą każdego. Girval wpatrywał się w Joachima, jakby usiłował przeniknąć jego myśli - Lecz Premery nie słuchał nikogo, wodził tylko po obecnych roztargnionym spojrzeniem.

Przeszliśmy na prawo do saloniku połączonego bezpośrednio z jadalnią, której dyskretna ornamentyka zapewne pozostała niezmienną od roku 1760. Przyglądałem się boazeriom w saloniku, podziwiając wiotką precyzję odrobienia każdej laseczki, każdego koszyka z kwiatami, gdy podszedł do mnie Premery.

- Jak widzisz, jest nienaruszona. Wystarczy odświeżenie dwóch, trzech ozdób, aby wskrzesić ową epokę tej niedostatecznie pojętej dotychczas regencji. Zamierzałem niegdyś omówić w książce problem przez nią rozwiązany: połączenia zła, zepsucia z pewną wytwornością moralną, współzycia subtelnej uczuciowości z cynizmem i brutalnością. Ale za długo nad tym myślałem i przepuściłem odpowiednią chwilę dla przeprowadzenia tego studium, niezbyt zresztą doniosłego. Zepsucie jest zjawiskiem tak wulgarnym, że niewiele przynosi w darze naszej duszy, jak ciasnym więzi ją kręgiem, nie dając wychynać na swobodę. W owej jednak epoce kultura obyczajowa stała tak wysoko, iż takt, dostosowanie odpowiednie każdego gestu wystarczyły, by nadawać wdzięk sytuacjom, w których dzisiaj dostrzegamy jedynie płaską pospolitość. Dowcip, urok pełniły wówczas tę dyskretną rolę, jaką odgrywa obecnie tkliwość. Była to jedna z tych epok, których zanalizowanie, wycucie jej istotnej treści pozostanie dla myślicieli zagadką. Do jakiego też stopnia rozbieżne, obce sobie osobowości mogą istnieć w człowieku? Oto, moim zdaniem, podstawowe zagadnienie psychologii.

Słowa te stawały się kluczem do zrozumienia niektórych charakterów, niektórych postaci stworzonych przez Joachima Premery'ego, tych najpełniejszych, najbardziej wyrazistych i jednocześnie najmniej zrozumiałych: takiego na przykład Ryszarda d'Ancre, hrabiny de Randau z Rozkoszy poniżenia albo Minny z Sadzawce.

- Po ukazaniu się Rozkoszy poniżenia - rzekł Premery, gdy mu to swoje spostrzeżenie wypowiedział - krytycy w czambuł odsądzili mnie od poczucia rzeczywistości, wytykając mi niedorzeczność mych bohaterów! Chodziło mi o typy świadczące o równoczesnym współzyciu dwóch zupełnie przeciwnych sobie charakterów: kazirodca, na przykład, pełen

pobożności, truciciel mający pasję poświęcenia i altruizmu. Iluż ludzi składa się na charakter człowieka?

Pani de Jaulgonne poczęstowała mnie kawą.

- Nie zajmujesz się nikim - powiedziała do ojca nadąsana.
- Gdyby nie ja, twoi goście nic by nie dostali.

- No, cóż - odparł Premery - nie wiem, na czym miałyby polegać szczęście posiadania córki, gdybym musiał zajmować się kawą i likierami.

- Powiesz zapewne, że ja tylko do tego się nadaję!

- Nigdy nie wymagałem od ciebie niczego innego.

- Ślicznie - mruknęła gniewnie. - Poznaję twoją zwykłą uprzejmość.

Po chwili, gdy Premery nawiązał rozmowę z Milne'em i Girvalem, pani de Jaulgonne podeszła do mnie.

- Niechże pana Bóg strzeże od współzycia z człowiekiem genialnym - rzekła. - Ojciec mój staje się z każdym dniem nieznośniejszy. Jego egoizm jest oburzający. Jestem przekonana, że gdybyśmy wszyscy zginęli, on ledwie by to zauważył. Ot, ma pan: syn mój Franciszek ma bronchit, a on raczył tylko zapytać o zdrowie...

Stwierdziłem w duchu, iż skoro pani de Jaulgonne tak bardzo była przejęta chorobą syna, powinna czuć u jego wezgłowia, zamiast wyrzekać na ojca tak zajadle. Jakiegokolwiek mogły być winy Joachima względem rodziny, uważałem, iż jawne formułowanie owych zarzutów przeciw człowiekowi tak wysokiej miary było czymś niesmacznym i nieco trywialnym i miałem o to żal do pani de Jaulgonne.

Nie śmiałem wyrazić jej tej refleksji, lecz ona sama odgadła moje odczucia i spostrzegłszy moją powściągliwość, dodała z przekąsem:

- Naturalnie, pan zauważa jedynie pisarza i sądzi, że jestem względem niego niesprawiedliwa. Ale ja na co dzień oglądam nie owego wielkiego człowieka, lecz po prostu

swego ojca i egoizm jego nazbyt mnie boli, bym to mogła ukrywać. Czy uwierzy pan, że on, mimo że ja tak tego pragnęłam, nigdy kroku nie chciał uczynić, by dostać się do Akademii!

- Cóż, z pewnością zauważyła pani, jak z wiekiem ojciec stał się odludkiem, domatorem, jak zdziczał...

- O tak, zdziczał - rzuciła jakąś niezrozumiałą dla mnie aluzję - ale nie dla wszystkich! W gruncie rzeczy on się wysila, by mi na każdym kroku robić na złość.

Jan Pierrotey i Adrian Milne żegnali się z gospodarzem; przyłączyłem się do nich i odjechaliśmy na dworzec we trójkę powozem Joachima. W przedziale kolejowym byliśmy sami. Moi dwaj towarzysze rozpoczęli rozmowę poufną; na wstępie zapytali mnie, od kiedy znam Joachima i zdziwili się, usłyszawszy, że znałem go dawniej niż oni. Zapragnęli dowiedzieć się, czy zaszła w nim poważniejsza zmiana. Wtedy podzieliłem się swymi spostrzeżeniami.

- Właściwie - orzekł Milne - mam wrażenie, że nudzi go sława. On jest stworzony do swobody i cyganerii, a teraz uwiera go chomąto rozgłosu.

- Nie sądzę, by mu sprawiało przykrość - zauważył Pierrotey. - Jego córka, która go w niejednym przypomina, to snob wręcz nadzwyczajny!

- Wiecie panowie, co ta córka zarzuca ojcu? - spytałem. - To, że nie dość zajmują go jej synowie! Ona chciałaby teraz ożenić Hektora, znaleźć mu dobrą partię i liczyć, że Premery jej w tym pomoże. Jemu zaś ani w głowie te wszystkie kombinacyjki! Ja myślę! Niepodobna wymagać od człowieka zaabsorbowanego od świtu do nocy roztrząsaniem treści zawiłych mitów, by został agentem kojarzenia małżeństw.

- Hm, ci państwo Jaulgonne to ponoć bogaci ludzie.

- Brygida jest nienasycona. Wszystkie tak wzniosłe ambicje ojcowskie w niej kierują się ku życiu praktycznemu. Jej żywot to jakaś ustawiczna niespokojna pogoń...

- Swoją drogą Premery nie jest bezinteresowny. Jego wydawcy mocno się skarżą, że z nich zdziera. On w interesach daje sobie radę niegorzej niż w metafizyce czy psychologii.

- Nie był taki temu lat dwadzieścia.

- Brakło mu sposobności albo na starość stał się bardziej chciwy.

Milne dodał jeszcze, iż do rozgoryczenia pani de Jaulgonne przyczyniło się również to, że w licznych nieporozumieniach małżeńskich Joachima stawała zawsze po stronie matki.

- Zdradzał żonę? Często? - zapytałem.

- Gorzej! - odrzekł Milne. - Niech pan tylko pomyśli o jego stosunku z panią de Clemadienne. Trwało to dziesięć lat i w ciągu tych dziesięciu lat Premery pisał do niej co wieczór!

- A zapomniał pan - wtrącił Pierrotey - o tej Amerykance, miss Tracewell, z której powodu chciał się rozwodzić!

- A ta grande passion ku córce Gerarda Cazenavette'a, która zeń tak fatalnie zadrwiła! - A historia z ową tancerką, w której Bóg wie czego się dopatrywał; nie pamiętam już, jak się nazywała...

- I tyle, tyle innych!... I jeszcze...

Spojrzeli na mnie, zamilkli obydwaj. Wyczułem, że woleli coś przede mną zataić.

- Na dnie jego natury leży chciwość - rzekł Pierrotey.

- Nie, raczej „zmiennosc” - odparł Milne. - Wydaje się chciwy, bo jest niecierpliwy i gwałtowny, ale w rzeczywistości szuka zawsze czegoś innego niż to, czego pragnie w danej chwili!

- Ile lat ma Premery? - zapytałem jeszcze. Tym razem odpowiedział mi Milne:

- Sześćdziesiąt osiem!
- Niepodobna!
- Niech pan sprawdzi w encyklopedii: Dijon, 15 października 1846. Ale wygląda najwyżej na pięćdziesiąt pięć!

Wielkie było me zdziwienie, gdy w tydzień potem, przybywszy do Joachima, nie zastałem go, jak zwykle o tej porze w pracowni zajętego przeglądaniem korespondencji i czasopism, lecz w ogrodzie, przechadzającego się pod drzewami i odzianego ze szczególną starannością, jakby wybierał się na schadzke.

Premery podszedł do mnie z pośpiechem, który wydał mi się nieco sztuczny, i zaciągnął ku ławce umieszczonej u stóp wspaniałego wiązu. Z miejsca tego widać było bramę do ogrodu. Natychmiast zaczął mówić z ożywieniem, kreśląc epigramatycznie, w kilku rysach, sądy o gościach z ostatniej niedzieli. Nie śmiał się jednak, rzucając swe koncepty; przeciwnie, skupienie malujące się na jego twarzy świadczyło o procesie przysłuchiwania się jakiemuś utajonemu wewnętrznemu głosowi, który nie znajdował echa w wygłaszanych słowach.

- A Girval?

Tu wejrzenie Joachima rozjaśniło się; opuściło go skrepowanie, jakby wspomnienie tej postaci harmonizowało z dręczącą go sekretną troską.

- Girval to prawdziwa oaza w moim życiu - oświadczył. - W ciągu dziesięciu, co mówię, dwudziestu lat nie napotkałem duszy tak świeżej. Mówię o mężczyznach! Wszyscy ci, z którymi się stykałem, jakże już tręcili stęchlizną! Ale nad tą duszą nachylałem się z rozkoszą. W jego wieku byłem do niego podobny, miałem tylko żywszy, przedwcześnie rozwinięty umysł, mniej natomiast intuicji. Girval odwiedza mnie często, dzielę się z nim doświadczeniem, jest świadkiem powstawania

moich projektów, moich zamysłów najtajniejszych. Chcę mu oszczędzić całych lat pracy. Rozumiesz przecież, że musiałby wszystko sam wydzierać, skrawek po skrawku, ze szponów sfinksa. On będzie moim następcą na tym świecie, kontynuacją, rzutem mojej myśli. To, czym jestem, nie zniszczy; on będzie moim dalszym ciągiem. I ja, opętany pasją logiki, sam nie zdołałem przewidzieć kierunku, w jakim wystrzeli ten świeży pęd wówczas, gdy już będę tylko pniem wypróchniałym. Jedno wiem: zanim umrę, zasile go moim życiem intelektualnym.

- Ma pan przecie także wnuki.

- A tak, mam.

Podczas tej rozmowy Premery chwilami przystawał, jakby łowiąc uchem jakiś daleki odgłos, albo rzucał niespokojne spojrzenie w stronę bramy. Chcąc go nieco rozerwać, zacząłem mówić o jego pracy, o której wspomniał ubiegłej niedzieli przy stole. Nie od razu mi odpowiedział: jego pochylone barki świadczyły o wyraźnym osłabieniu, wyglądał niby Atlas uginający się pod brzemieniem nadmiernie ciężącego mu globu.

- Za późno - rzekł wreszcie. - Już tego nie dokończę...

Mój nieśmiały protest odegnał nerwowym gestem; odczułem wtedy daremność i niemal impertynencję jakiegokolwiek konwencjonalnego pocieszenia.

- Kompletuję obecnie i porządkuję swe notatki - ciągnął Premery. - Girval ogłosi je po mojej śmierci. Trudno mi powiedzieć, jak będą zrozumiane przez czytelnika, obawiam się, iż całość wyda się wielce zawiła i niejasna. Chciałem zawrzeć w tym dziele to wszystko, czego jeszcze nie wypowiedziałem. Przekleństwo polega na tym, iż w miarę roboty poznaje się coraz więcej i że pragnie się opróżnić całą sakwę naraz... Roilo mi się napisanie dramatu kosmologicznego albo raczej obszernej opowieści

filozoficznej, w której mityczne podania starożytności byłyby nawiązaniem do zdobyczy wiedzy współczesnej. Synteza ludzkości, rozumiesz, coś niby testament planety Ziemi... To marzenie, a ja już jestem starcem. I zaczynam obojętnieć. Nuży mnie sława i ambicja, pragnę oddychać powietrzem mniej pełnym boskich tchnień... Zobojętniałem? Nie! To nie jest właściwe określenie. Ale dość mam już tych wszystkich rupieci...

Ostatnie słowo wymówił ze szczególnym naciskiem, powtórzył je nagle i zamilkł. Zamierzałem replikować, gdy ujrzałem, jak twarz Joachima spłonęła żywym rumieńcem - emocji czy trwogi, a palce poruszyły się nerwowo.

W tejże chwili Premery powstał.

- Antoni! Antoni! - zawołał.

Ujrzałem starego służącego, śpieszącego niezgrabnym kłusem przez podwórze ku bramie, którą rozwarł przed przybyłą amazonką.

Wspaniała kasztan, zmęczony drogą, dyszał, spoglądając na nas przyjaźnie, a cienka noga uderzała niecierpliwie o okrągły kamień, jakby chciała zeń wykrzesać iskrę, co go podsyci na nowo.

Premery pomógł przybyłej zejść z siodła; a potem mnie jej przedstawił.

Eliza Hallencourt szła obok Joachima, bijąc się lekko szpicrutą po dopasowanym zakiecie i długich butach. Patrzyłem na nią, czując onieśmienie wobec tej młodziutkiej dziewczyny; w jej twarzy niemal jeszcze dziecięcej lecz nieskończenie pięknej widniała owa powaga pełna przeczystej zadumy, jaką sobie wyobrażamy na obliczach wysłanników z dalekich Indii. Śmiała, stanowcza i zarazem jakoś dziwnie melancholijna, wzbudziła we mnie nieopisany zachwyty.

I oto, nagle przeniósłszy wzrok na Joachima, ujrzałem nowy cud: przede mną stał Premery z czasów mojej młodości.

Metamorfoza, którą dostrzegłem w nim po powrocie do Francji zniknęła; zaś zmiana obecna była jeszcze bardziej uderzająca, gdyż ten mężczyzna, którego widziałem teraz pełnego ożywienia i werwy iście młodzieńczej, z tamtym zgorzkniałym starcem nie miał nic wspólnego.

- Przrzekłam, że się zjawię - mówiła dziewczyna. - Ale zostanę tylko dwie minuty. Muszę jeszcze przed powrotem odwiedzić mego wuja de Gordes.

- Trzeba mi poświęcić więcej niż dwie minuty! - rzekł Premery. - Nie widziałem cię wczoraj.

- Zostanę, dopóki będę mogła - odparła, podając mu dłoń.
- Niech tam! Wuj sobie poczeka!

Premery ujął tę drobną, ale jędrną, nerwową rączkę i podniósł ku swym wargom, a potem zapytał pannę Hallencourt, czy nie zechce się czymś orzeźwić. Odmówiła i przeszliśmy ku ławce w głębi ogrodu. W tym momencie uznałem swą obecność za zbędną. Ale Premery zatrzymywał mnie tak usilnie, że zostałem, sądząc, iż pragnie dać mi sposobność bliższego poznania i podziwiania panny Hallencourt.

Wypytywał ją drobiazgowo, poruszając mnóstwo spraw pozornie obojętnych. Dowiedziawszy się na przykład, że Eliza grała rano w tenisa, zapytał, z kim grała, a gdy mu wymieniła kilka osób, przerwał jej nagle.

- Ale, moja panienko? To nazwisko jest mi obce! Któż to jest ów Lucjan Varlotte? Odparła z uśmiechem, że to chłopak bez znaczenia, ot, kuzynek jej przyjaciółki Zuzanny; przygotowuje się obecnie do matury.

- Do matury! - mruknął Premery, zwracając się w moją stronę. - Ciebie również znałem, gdy przygotowywałeś się do matury, a miałem już wtedy przeszło czterdzieści lat i byłem przyjacielem twego ojca. Teraz oto ty dobiegłeś tego wieku, a

tam inni przybywają! Gdy myślę o starym Simonidesie, tyle imion ciśnie mi się na usta!

Urwał nagle i zwrócił głowę ku panie Hallencourt.

- Dlaczego panienka dzisiaj jedzie do pana de Gordes?

- Potrzebuje mnie.

- Mniej niż ja. Nikt tak cię nie potrzebuje jak ja.

- Mistrzu, nie jesteś samotny, masz swój talent.

- Mój talent? - zawołał szyderczo. - Cóż mi z niego? Nie przeczę. W południe żywota człowiek istotnie jest tak próżny, że uważa go za towarzystwo. Ale dziś! Jakąż wartość ma dla mnie te kilka szczebli więcej czy mniej, które przebędę? Powiedz, Elizo, powiedz, czy jest coś z prawdy w tym wszystkim, w co nieopatrznie uwierzyłem?

- Pan może ma prawo, pan właśnie, tym gardzić, ale jakże ja mogę to oceniać? W tej chwili jesteś pan jak milioner segregujący w kasie ogniotrwałej swe kupony przed oczyma nędzarza. Może pan mierzyć przebyte szczeble, ale ja widzę pana tam wysoko, wysoko, gdzie są nieliczni tobie podobni...

Przymknęła powieki, jakby już oślepił ją blask owego nieba, w którym miał przebywać jej mistrz. Jakaś pogodna wiara promieniała z jej przeczystego oblicza.

Eliza Hallencourt westchnąwszy cicho, wstała i przeszła kilka kroków pod drzewami. Stała niepewna między cieniem a światłem; twarz miała zatrwożoną i spochmurniałą.

- O czym myślisz? - zagadnął Premery.

- O świecie, w którym byłyby same kobiety! Nienawidzę cierpienia, a jedynie czuła przyjaźń pozwala kochać bez cierpień.

Gdy to mówiła, zauważyłem, że Premery się zmieszał. Nozdrza mu się rozdeły, a w oczach zamigotały błyski tak szybkie i tak zmienne, iż nie zdołałem schwycić ich w przelocie, by określić, jakim odpowiadały wzruszeniom.

- Nie trzeba tak mówić, Elizo - rzekł głucho. - Cierpienie to nie coś dla ciebie. Zostaw je starcom, chorym, zostaw je głupcom. Eliza nieszczęśliwa? Doprawdy, śmiechu warte! Jeżeli by do tego doszło, sam Herkules wyszedłby z Hadesu i uniósł cię w ramionach, tak jak to uczynił z przeczystą Alceścią!

- Nie trzeba się wyśmiewać, panie znakomity pisarzu, albo też trzeba zmienić swój sąd. Napisał pan w Sadzawce: Młodość otacza cię tłumem cierpień; wówczas dorównują twjej postaci; ale później, górując nad nimi, będziesz mógł walczyć i niekiedy zwyciężać.

- Napisałem to istotnie, poznaję te słowa. Ale ja miałem smętne dzieciństwo, a zwłaszcza w młodzieńczych latach wiele wycierpiałem. Z tobą, Elizo, jest całkiem inaczej. Od kolebki widziałas, że świat jest ci oddany w lenno. Czegóż ci kiedykolwiek odmówiono? Czyż nie miałaś zawsze wszystkiego w obfitości?

- Zaczynam napotykać opór - odrzekła. - Tak rzeczywiście, obsypywano mnie mnóstwem rzeczy... lecz ja ich nie pożądałam. Teraz dopiero zaczynam ich pragnąć. I czuję, że zostałam okłamana. Zresztą, pan wie o tym, że jeżeli mnie psuto nadmiernie, to dlatego, bym zapomniała o swoim nieszczęściu: ale niesprzeciwianie się kaprysom dziecka nie zastąpi mu obecności matki. A dziś ta matka, której nigdy nie miałam, tak mi potrzebna. Ach, nie wiesz, drogi mistrzu, jak mi jej brak! Są myśli, którymi dziewczyna jedynie z matką dzielić się może...

- Przebacz mi, Elizo, to ty masz słuszość. Otrzymałaś swój dział powszechnego cierpienia wcześniej niż my. Nie trzeba ci było, jak nam, czekać aż, to cierpienie nadejdzie; wyprzedziło cię ono na tym padole! - Tu Premery urwał i zagadnął swą przyjaciółkę: - No, a ta robota, Elizo? Coś robiła wczoraj?

Odpowiedziała, że tłumaczyła z Antogony fragment rozmowy między Antygoną a Kreonem, i z roziskrzonym wzrokiem oświadczyła, iż nigdy nie przeczytała czegoś równie pięknego, jak to zdanie:

Dłużej cieszyć będę tych, co leżą w ziemi, niżeli tych, co żyją.

Premery powtórzył to zdanie po grecku, po czym, zwracając się do mnie, rzekł:

- Wskazałem jej drogę ku źródłu. Cokolwiek się zdarzy, już jej nie zapomni!

- Nie - zapewniła ze śmiechem. - Ale zapominam o wuju de Gordes! Wyprostowała się i machnęła szpicrutą.

Premery pomógł jej przy wsiadaniu. Obróciła się w siodle i dłonią przesłała mu pocałunek. Gdy się oddalała, kurz gościńca zakłębił się za nią jak dym kadzidlany.

Powoli wróciliśmy pod drzewa i usiedliśmy na ławce. Głos mego przyjaciela począł się zmieniać, stawał się oschlejszy, jakiś bezosobowy, bardziej monotony i odarty z owej kunsztownej modulacji, którą tętnił przed chwilą.

- Kiedyś opowiem ci, w jaki sposób ją poznałem. To zatraća o bajkę. Dziś jestem znużony... Nie, zostań jeszcze; wolę cię mieć przy sobie. Wieczór nadchodzi. Bywają chwile, Volpelier, gdy czuję się bardzo stary! I kiedy jestem sam w takich godzinach, cierpię tak dotkliwie, boleję nad ograniczonością mych sił, czuję się tak słaby wobec tego wszystkiego, co mi pozostaje do wypełnienia.

Byłem zdumiony, zdawało mi się niemożliwością, by najlżejszy bodaj cień słabości człowieczej mógł zmącić ten straszliwy spokój.

Niebawem zawróciliśmy do miasta i pożegnałem się z mistrzem. Udałem się pieszo na dworzec rześiście oświetloną ulicą. W głowie przesuwały mi się sprzeczne myśli, które zwracały się ku osobie Joachima. Miałem wrażenie, że te

długie lata rozłąki zacieśniły jeszcze i pomnożyły łączące nas więzy i że poza jego osobą nic we Francji nie miało znaczenia w oczach cudzoziemca, jakim się stałem. Powietrze, którym oddychałem w jego obecności, upajało i nieco odurzało jak pierwsze zetknięcie się z lasem dziewiczym i jak dziewiczy las ciągnęło ku sobie nieodparcie. I myślałem również o tej bystrej, smagłej dziewczynie, która zajęła tyle miejsca w jego życiu. Stawiałem sobie na ten temat mnóstwo pytań. Żadne z nich, jak się później przekonałem, nie miało związku z mającymi nastąpić wydarzeniami.

Rozdział 2

W kilka dni później udałem się znowu do Wersalu. Premery nie pracował i przyjął mnie niezwłocznie.

Spojrzał na zegarek.

- Czekam na Elizę Hallencourt. Obiecała przyjechać na herbatę. Spodziewałem się ciebie również. Powiedziała mi, że bardzo jej się spodobałeś. Powtarzam ci to, gdyż mam cię za dość inteligentnego, byś dbał o zdanie takiej panienki jak ona. Jest niby tęcza mieniąca się wśród nas, czyż nie tak? Wszystkie barwy, nieuchwytnie przejścia od niuansu do niuansu i nieskończoność obietnic! Oby tylko świat jej nie zepsuł, nie splamił! Och, torturą jest dla mnie myśl, iż niebawem wypadnie i na nią kolej skapania się w kloace. Jak ją od tego uchronić, jak ją ocalić?

- Jest bogata.

- Niestety tak i dlatego właśnie tym bardziej zagrożona. Nie ma jednego człowieka na tysiąc, który by zrozumiał, że młodość Elizy to coś rzadkiego, coś wyjątkowego jak, na przykład, przetrwanie na przestrzeni wieków stworzenia tak bezbronnego i tak pełnego uroku jak gazela.

Zwrócił spojrzenie ku oknu i rzekł nagle;

- Nie zdołam ci powiedzieć, czym jest dla mnie Eliza. Od szeregu lat straciłem zmysł odczuwania innych, żyłem samotny wśród świata sztucznie wytworzonego, jak w retorcie skraplałem i krystalizowałem parę, byłem tylko obserwatorem. Aż oto pośród tych lodowców, pośród tych mgieł ukazała mi się i zesłała ku mnie córa Ziemi, piękna i czysta jak twory poetów. Młodość swoją w niej odnajduję, wielobarwną promienną dwudziestą wiosny, wcielenie tego snu, niezniszczalną tęsknotą przekazanego przez najlepszych z pośród nas tym których zatruli.

Nastąpiła chwila przykrego milczenia, które Premery przerwał słowami:

- Tylko że... mam sześćdziesiąt osiem lat!

Długo dźwięczało mi w uszach to zwierzenie: „Straciłem zmysł odczuwania innych”. Może z tej przyczyny obecny Joachim tak bardzo różnił się od dawnego, może to sprawiło, że czuł się pośród nas tak dziwnie zażenowany, że zwracając się do nas, silił się na dobieranie słów, zgoła jakby myśli swe wypowiadał w obcym języku? Czy dlatego, w obecności jednej tylko panny Hallencourt stawał się podobny portretowi, który przechowywałem w pamięci? To wyjaśniło mi istotę zarzutów ze strony pani de Jaulgonne oraz pozorną obojętność Joachima. Jakże nikle i blade przedstawiały się oczom tego wielkiego twórcy wszystkie osoby otaczające go, i ja wraz z nimi, w porównaniu z potężnymi postaciami, które powstały z niego samego, stworzone równie dokładnie, a o ileż trwalsze! Lecz oto, poczytując dumnie za szczebel wyzwolenia ten wielki odjazd w samotność, może nie przewidział melancholii i chłodu? Poza tym wreszcie - osamotnienie jest zawsze względne; czyż w osamotnieniu Joachima rozwiały się do cna wszystkie te postacie utrwalone na kartach jego książek, po których nieco różnobarwnego pyłu pozostało: pani de Clemadienne, miss Dora Tracewell, pani Cazenavette?

- Przed laty dwudziestu - rzekł Premery - mosty między mną a otoczeniem nie były jeszcze spalone. Jeżeli je spaliłem, to wbrew mej woli. Człowiek zawsze sądzi, że jest taki jak inni, wędruje tam gdzie i oni, robi mniej więcej to samo tylko że, ot, myśli trochę o rzeczach, o których tamci nie myślą. A potem nagle spostrzegasz, że rzuciłeś jakieś słowo, którego oni nie rozumieją, powtarzasz je, a oni nastawiają uszu ze śmiechem, zwracasz się na wszystkie strony, z wolna czyni się pusto dookoła, a w sobie czujesz jakiś zawrót głowy. To krąg samotnych lat ci się zapowiada. Nie dostrzegasz już tych ludzi, ich zewnętrznych postaci, ich namiętności, ich groteskowości, lecz tylko schematy, wykresy, formuły dające

ci w kilku słowach klucz do przeniknięcia ich niepokojów i zabiegów, ich umizgów, pochlebstw, gniewów i szałów. Z tą godziną zaczyna się twoja „pozaludzkość”.

Odgadłem, że Premery był tego dnia w nastroju do zwierzeń; zachęciło mnie to do pytań bardziej dogłębnych! Obawiałem się jednak, by rychło nie zamknął się w sobie. Zagadnąłem go spokojnie na temat panny Hallencourt. Zazyłość między nim i tą młodziutką panienczką właściwie nie tyle dziwiła, ile intrygowała. Musiał istnieć tu jakiś klucz, którego nie sposób było dobrać. Przypisywałem im obojgu uczucia tak nieżyciowe, tak abstrakcyjne, iż wreszcie musiałem stwierdzić, że się myliłem, nie doprowadzając nawet do końca swego błędnego rozumowania. W ten sposób właśnie wszelkie nasze spostrzeżenia na temat bliźnich są opaczne; powiadamy o tym lub owym: „to pyszałek”, albo „to chciwiec” tak, jakby orzekł lekarz: „to epileptyk” albo „to artretyk”, nie wchodząc bliżej w składniki ich osobowości, jak gdyby ten czy ów artretyk, czy epileptyk nie różnił się radykalnie od innego. Przypisując Joachimowi Premery kult młodości, Elizie zaś pewnego rodzaju próżność, bo mianowicie schlebiało jej być przyjaciółką wielkiego człowieka, nie myliłem się całkowicie; zdołałem rozpoznać pień drzewa, lecz myliłem się co do natury wystrzelających z niego pędów.

Premery niezbyt wiele mi wyjaśnił w tej sprawie; odmówił, gdy poprosiłem, by opowiedział, w jakich okolicznościach poznał Elizę, za to opisał dokładnie jej ojca. Znałem go z nazwiska, choć nigdy nie tknąłem jego Rozprawy o filozofii Józefa de Maistre ani Historii papieżstwa, której ukazały się dotychczas trzy tomy. Premery przedstawił mi go jako człowieka zarazem naiwnego i intryganta, wyrachowanego i bezinteresownego, prowadzącego zawile, całkiem bezcelowe machinacje, a z zupełną obojętnością

traktującego logiczne konsekwencje faktów. Hallencourt pragnął dostać się do Akademii, a sprawę tę wyobrażał sobie jako ponury labirynt ciemnych zabiegów i makiawelicznych kombinacji. Przekonany, że Premery przed nim zostanie akademikiem, obawiał się mu narazić i zezwalał córce na widywanie się z nim do woli. Zresztą ten fanatyk Józefa de Maistre'a nie śmiał w niczym się jej sprzeciwić i wbrew swym teoriom o wychowaniu zostawił jej zupełną swobodę.

- Wybierzemy się do niego - rzekł Premery. - Warto to uczynić. To ciekawy typ. Komedio pisarz sportretowałby go bezwzględnie. Eliza nieraz opowiadała mi o nim wspaniałe historie. Ona go uwielbia, ale bawi się nim. Ma dla niego więcej czułości niż szacunku. Piąta godzina - dodał Joachim. - Eliza zaraz przyjedzie.

W tej chwili wszedł Antoni, przynosząc herbatę, świeżutką, jeszcze gorącą strucelkę z masłem, kruche ciasteczka oraz kryształową salaterkę ślicznie zaróżowioną błyszczącymi morelami i przezroczystymi porzeczkami.

- Eliza się spóźnia - rzekł Premery, spoglądając w stronę zegara.

Wydał mi się teraz zdenerwowany, niespokojny, wytracony z równowagi. Wyciągnął dłonie i spojrzał na nie; były pomarszczone, zwiędłe, usiane żółtawymi i brunatnymi plamkami, które zdawały się oznaczać rozpoczynający się rozkład. Westchnął.

- Może nie przyjdzie - oświadczył.

Ale zauważyłem, że wymawiał te słowa przesadnie, jakby składał okup złośliwym duchom, jakby wygłaszał magiczne zaklęcie, które przyspieszy chwilę przybycia oczekiwanej. Uderzył mnie ten nagły dziecinny objaw, tak nieoczekiwany prymitywny zwrot ku formułom czarnoksięskim.

- Ojciec jej miewa bolesne ataki nerkowe. Być może musiała z nim zostać.

Premery usiłował mówić obojętnie; lecz bez powodzenia. Widziałem dobrze, iż stawał się roztargniony, niecierpliwy, coraz bardziej zaniepokojony. Po upływie kwadransa gwałtem posadził mnie do stołu. Ale herbata była już zimna; Premery z irytacją w głosie zawołał służącego, by podał świeżej; strucelka powędrowała z powrotem na blachę.

Po chwili Joachim począł mówić o swych obawach, iż nie dokończy już kapitalnego utworu.

- Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat! Tyle nam rezerwuje natura! Ani dnia więcej niż Antoniemu albo konduktorowi tramwaju z Trianon! To cud, że ludzkość miała takiego Spinozę, Leonarda da Vinci, Hokusai... Gra jest nierówna; raptem kilka dni na zdobycie wieczności. Człowiek zużywa dziesięć lat na wychylenie się z nicości, dziesięć na poznawanie zjawisk życia, dziesięć na kochanie, dziesięć na przejście od młodości do dojrzałości, przez dziesięć lat stara się realizować swe cele, pozostaje mu jeszcze dziesięć, aby osiągnąć swoje maksimum, bądź też stwierdzić swą porażkę; potem zaczyna się już opadanie. Do licha, śliczny bilans!

Uderzyła mnie dowolność tego podziału. Powiedziałem mu to.

- Wiem, że generalizuję - odparł, - Niejeden już w czterdziestym roku życia jest niezdolny do kochania w tych latach, gdy się dopiero prawdziwie pojmuje miłość, a nie złudny pościg za zmysłowym szczęściem, lecz są tacy, co kochają aż do zgonu...

- Złudny pościg?...

- Tak, złudny, jeżeli szukamy tylko takiej miłości! Miłość to stan łaski na podłożu związku płci, lecz o przejawach niemal mistycznych.

Zadzwonił ze złością i kazał podać na nowo herbatę. Częstował nią z widoczną irytacją. Zegar wybił godzinę szóstą. Z twarzy Joachima zniknął ów wyraz „stanu

czynnego", jaki zauważyłem na wstępie; cera mu pożółkła, oczy przestały błyszczeć. Zasnuwał się mgłą, na podobieństwo tych tancerzy, których w balecie Orfeusz, przedstawiającym Pola Elizejskie oddala się sztucznie i oddziela od widowni za pomocą zasłony z gazy.

- Pan... nic? - zapytałem.

- ...Najmniejszego apetytu!

Nalał sobie szklanek wina, lecz odsunął ją, zaledwie tknąwszy. Po czym podszedł do telefonu. Poprosił pannę Hallencourt. Odpowiedziano mu, że wyszła.

- Proszę powiedzieć, że dzwonił pan Premery i oczekuje na telefon, gdy tylko panna Eliza wróci.

- Ojciec jej nie jest chory - oznajmił zwracając się do mnie. - Czemuż więc nie przyjechała?

Gdy powstałem z zamiarem pożegnania się, Joachim mnie nie zatrzymywał.

- Przyjdź niedługo - rzucił z roztargnieniem na odchodne.

A ja byłem zdumiony, iż ten człowiek, który nigdy nie wątpił, który z taką potęgą spokoju spoglądał w niewiadome perspektywy zaświata, nie umiał bez słabości, bez rozpaczyny znieść tej myśli, że się o kilka godzin odwlecze wizyta dwudziestoletniej pani.

Rozdział 3

Czas upływał, a mnie wciąż nie udawało się znaleźć odpowiedniego mieszkania.

Gdy pewnej niedzieli wspomniałem o tym Joachimowi, poradził mi, bym się urządził w Wersalu, gdzie, jak zapewniał, było kilka lokali do wynajęcia; Premery zachwalał mi zwłaszcza jeden z nich, na ulicy Parafialnej, o oknach wychodzących na basen Neptuna. Udaliśmy się tam wspólnie, że zaś mieszkanie zarówno rozmiarami jak umeblowaniem przypadło mi do gustu, niebawem się tam wprowadziłem.

Na tym cichym, na poty zamarłym przedmieściu, mając możliwość spędzania długich godzin w parku i czując się tam tak samotny, jak gdyby gaiki, posągi i baseny byty dla mnie wyłącznie urządzone, doznawałem błogiego, a od lat nieznanego mi wrażenia zadowolenia z tego, że istnieję. Był to, rzecz można, stan „wewnętrznego przepychu”; stopniowo odkrywałem w sobie jakieś uczucia rzadkie, niejako luksusowe; przestałem patrzeć na świat jak na targowisko czy jarmarczną szopę, gdzie jeden drugiemu wydziera lepsze miejsce za pomocą pieniędzy lub podstępem. Doszedłem wreszcie do tego, iż własna moja nieraz ujawniona chciwość i ambicja wzbudzała we mnie teraz pobłażliwą wzgardę. Jakieś uczucie odprężenia, ulgi, słodkiej beczynności zastąpiło owe niezliczone rachunki i kombinacje, którymi wyjałowiłem swój mózg. Udzieliły mi się równocześnie samorodna beztroska Elizy i opanowany spokój Joachima. Wobec tych dwojga istot, tak różnych, a przecież tak bliskich dzięki dążeniu do wzbogacenia wyłącznie umysłu lub serca, byłem tylko biznesmenem, mniemającym, że upraszcza zagadnienie życia, rozwiązując je na papierze kontowym.

Przed zapadnięciem zmroku udawałem się do Joachima na herbatkę. Czasami zatrzymywał mnie na kolacji, a nawet dłużej; czasami zamykał się w pracowni. Panna Eliza

Hallencourt stale brała udział w naszych podwieczorkach, nieraz także zjawił się ów Aleksander Girval, którego teraz, po dokładniejszym poznaniu, zaczynałem cenić nader wysoko, chociaż skąpy był w słowach i wydawał się onieśmielony, zwłaszcza w obecności młodej panny.

Drugi zaledwie tydzień upływał od chwili mego zakwaterowania się w Wersalu, gdy Premery z widoczną irytacją oznajmił mi, że pani de Jaulgonne również zamierza tu spędzić lato i już wynajęła apartament na bulwarze Królowej, aby, jak zapewniała, nie rozłączać się z ojcem. Miała zamieszkać wraz z synem, który świeżo otrzymał był od swego ministerstwa sześciomiesięczny urlop wypoczynkowy; że zaś admirał objawił stanowczy zamiar pozostania w Paryżu, obiecywała sobie obdzielać swą obecnością kolejno ojca i męża. Premery nigdy zbytnio się nie martwił rozłąką z córką, pani de Jaulgonne zaś doskonale obydwała się dotychczas bez niego. Niewątpliwie ten jej krok zmierzał do jakiegoś konkretnego celu. Przebiegła to była sztuka, wiedziała dobrze, że ojciec tak poważną był osobistością, iż w razie konfliktu z nim nieuchronnie zostałaby ośmieszona lub uznana winną; i, choć w głębi duszy ganiła zaciętą niezależność Joachima oraz jego pozorny czy rzeczywisty egoizm, którym się odgradzał od otoczenia, zdawała sobie sprawę, że pozycję towarzyską zawdzięczała raczej temu, iż jest córką człowieka tej miary niż małżeństwu z admirałem, któremu rodzina i dobrze wyzyskane stosunki utorowały trzy czwarte kariery..

Zapowiedź rychłego jej przybycia bynajmniej nie cieszyła Joachima Premery'ego; przez cały tydzień chodził nachmurzony, ponury, okazywał szczególną drażliwość wobec otoczenia, względem którego nieraz był wręcz niesprawiedliwy. Wybuchał gniewem i czynił wymówki o byle co.

Oszczędzał jedynie Elizę i mnie.

Gdy raz pozwoliłem sobie na aluzję do przykrego nastroju, w jakim wciąż trwał, odparł mi nie bez zażenowania:

- Uważasz, że jestem nieznośny tyran, despota? Zapewne masz słuszość. Ale widzisz, jestem jak barometr, któremu pewne ciśnienie atmosfery każe przeczuwać burzę. Ogarnęło mnie jakieś rozdrażnienie, które nic dobrego nie wróży. Nie wyobrażasz sobie - dodał - do jakiego stopnia cierpię wskutek tego zdenerwowania i jak wielkie muszę' czynić wysiłki, by panować nad sobą i nieustannie się kontrolować. Tylko... że bywają chwile, gdy ster nie słucha już ręki sternika...

Pani de Jaulgonne przybyła wraz z synem do Wersalu w ostatnich dniach maja. Natychmiast po ich przyjeździe zastałem oboje u Joachima. W przyjęciu, jakiego tam doznali, więcej było kurtuazji niż serdeczności; Premery witał ich raczej jak arystokrata przyjmujący krewnych w swym pałacu niż jak poczciwy bourgeois chwytający córkę w ramiona. Najwidoczniej chciał dać im do zrozumienia, że jego dom nie jest domem, do którego mogliby zaglądać co dzień i o każdej porze. Tamci dwoje, ze swej strony, zdawali się zgoła odmiennie sprawę traktować: oto instalowali się w Wersalu aby być przy Joachimie, nie ograniczając się wcale do jakichś wizyt, składanych od czasu do czasu. Miałem wrażenie, iż byli zdecydowani trwać na zajętych pozycjach.

Premery powstał, oświadczając, że idzie pracować.

- Znasz mój numer - rzucił córce na odchodne. - Telefonuj do mnie, ilekroć zapragniesz. Ja obecnie często wychodzę z domu. Cautin - był to jego lekarz - radzi mi zażywać dużo ruchu...

Zbierałem się do wyjścia, lecz Premery zatrzymał mnie jeszcze na chwilę.

- Brygida staje się nadmiernie czuła - rzekł. - To kapitalne! W gruncie rzeczy nie jest bardziej sentymentalna niż ja. Do narodzin swego pierwszego dziecka bardzo mnie

kochała. Nie utrzymuję, iż dziś jestem jej całkowicie obojętny. Ale, uważasz, ona sprzedałaby ojca by dogodzić któremuś z synów... Kocha zaś we mnie to tylko, co jej przynosi zaszczyt. Nigdy nie oddziela swej miłości od stanowiska społecznego istoty kochanej, co zresztą czyni większość kobiet. Skąd też się jej tak zebrało na sentyment?

- A Hektor? - zagadnąłem.

- Mówiłem ci już: ten jest jeszcze bardziej oschły niż matka. Ona niekiedy miewa napady bezinteresowności; to właśnie jest w niej sympatyczne. Hektor - nigdy. Przynajmniej nigdy dotychczas. Ale jest młody. Najczęściej z wiekiem dopiero w człowieku odzywa się serce... Ano, zobaczymy...

Oddaliłem się, pozostawiając Joachima przy pracy. Gdy mówię o pracy, nie chodzi mi o samą tylko sprawność jego pióra, lecz o to przedziwne przystosowanie do nieustannej gry myśli. Później dopiero zrozumiałem, że egoizm Joachima był zamykaniem uszu na wrzawę wrogiego mu świata zewnętrznego i że zbrojąc się w nieczułość, ochraniał swą wewnętrzną aktywność.

Każda bogatym umysłem wyposażona jednostka z wiekiem nabywa pewnych przyzwyczajęń; nieraz graniczy to z maniactwem. Premery uchodził za mistrza w subtelnej sztuce wywoływania wokół siebie szczęśliwych wypadków ożywiających jego geniusz. Teraz, niestety, przeszkadzała mu w tym nieświadomie Brygida de Jaulgonne. Premery miał za mało sily by przewyciężyć drobne przeciwności codzienne. Herkules, który pokonał lwa nemejskiego, zapewne nie umiałby się obronić przed komarami. Podczas obecności Brygidy po całym domu rozlegało się głucho ale nieustanne brzęczenie: plotki, kąśliwe aluzje na temat rzekomej obojętności ojca, wyrzekania na ciężkie warunki życia, konflikty towarzyskie, a zwłaszcza wybuchy przesadnej nienawiści względem przeciwników Premery'ego. Joachim

dowiadywał się wówczas, co mu zarzucali zawistni koledzy lub złośliwi dziennikarze. Pozostawiony samemu sobie ignorował ich, lecz skryte ich ataki znajdowały potężne echo, odbijając się o tarczę, którą Brygida w swym mniemaniu zwycięsko je odpierała. Toteż po kilku dniach ujrzałem Joachima w stanie wielkiej depresji. Nie śmiał zerwać z córką - nie mógł tego uczynić - i z pewnością wyrzucał sobie, iż tak mocno reagował na otaczającą go atmosferę.

Zarówno Hektor jak Brygida przeszli do porządku nad delikatnymi ostrzeżeniami ze strony Joachima; nachodzili wciąż jego dom, brali go w posiadanie, traktując jak zdobytą prowincję. Dezerterowali najlepsi przyjaciele Joachima, w szczególności Eliza i Girval, więc rozdrażnienie wielkiego pisarza wzrastało z każdą chwilą. Obecność panny Hallencourt stanowiła teraz jedyne święto w jego życiu. Wyrzekać się tej obecności po to, by słuchać gderania pani de Jaulgonne lub kwaśnych rad, jakimi częstował go Hektor, było dla Joachima równie miłe, jakby podczas uczyty znalazł w swym kielichu żółć zamiast przedniego wina. Ja sam, mimo naszej zażyłości, ociagałem się ze składaniem wizyt przyjacielowi z obawy przed tą niepożądaną kompanią. Toteż często przechadzałem się samotnie po parku.

Pewnego dnia błędząc tak usiadłem na jednej z ławek uszeregowanych wzdłuż głównego kwietnika. Nagle z boku ujrzałem Elizę Hallencourt spacerującą pod drzewami w towarzystwie Hektora de Jaulgonne. Oboje rozprawiali z takim ożywieniem, że przeszli obok, nie spostrzegłszy mnie. Nie wyczytałem w ich twarzach żadnego szczególnego wyrazu poza podnieceniem gorącą dysputą, w której pytania ledwie rzucone wnet zahaczały się o repliki. Nie przywiązywałem do tej sceny na razie żadnego znaczenia, lecz gdy w pół godziny później przypomniałem ją sobie, przyszło mi na myśl, iż zabiegi pani de Jaulgonne w Wersalu i

osaczenie przez nią Joachima miały na celu doprowadzenie do małżeństwa Hektora z panną Hallencourt. Myśl o tym, sam nie wiem czemu, była mi zdecydowanie niemiła.

Cóż bowiem mogło mi na tym zależeć, cóż mnie ten mariaż obchodził? Wyczuwałem przecież intuicyjnie, że Hektor de Jaulgonne w niczym nie odpowiada typowi małżonka, jakiego byśmy życzyli pannie Hallencourt. Dziwiłem się, iż miałem dla tej panienki aż tyle sympatii, by się troszczyć o jej przyszłe szczęście. Ale czyż to nie było naturalne? Czy można patrzeć na istotę młodą, płomienną, żywiołową, szczerą, nie odczuwając niepokoju o jej przyszłość, gdy los lubuje się w najmroczniejszych metamorfozach i tak często, niby zazdrosny bożek, zamyka czystą, gładką nimfę w chropawą trumnę drzewnego pnia?

Snując te rozmyślenia, zawróciłem w stronę Wielkiego Trianon i tam natknąłem się na Aleksandra Girvala, który wielkimi krokami zmierzał ku wyjściu uderzając z pasją laską o żwir alei.

- Ha! - zawołałem nieopatrznie. - I pan tutaj? Wszyscy są w parku.

- A kogóż to pan już spotkał? - zapytał podejrzliwie.

Zabrnąłem za daleko, by się cofnąć; nie przypuszczałem zresztą, by ten szczegół bliżej interesował Girvala.

- Pannę Hallencourt i Hektora de Jaulgonne. Spacerowali nie opodal.

Doznałem wrażenia, że powiedziałem za wiele: twarz Girvala o energicznych rysach nieznacznie ściągnęła się.

Poprzestał jednak na mruknięciu „ach, tak?” i natychmiast zaczął mówić o czymś innym.

- Czemu się pan wałęsa tutaj zamiast być u Premery'ego?
- zapytałem.

- Owszem, pragnąłem posiedzieć u niego, lecz zastałem w domu jego córkę, a że zanosilo się na długą rozmowę, dałem drapakę i spaceruję tutaj, czekając na pociąg.

Trudno było w to. uwierzyć, bo pociągi z Dworca Inwalidów odchodzą bardzo często. Po cóż więc dawał mi to zbędne wyjaśnienie? Czy przeczuwał obecność panny Hallencourt i Hektora de Jaulgonne w Trianon? Ścigał ich tam? W jakim celu?

Tu myśl moja zboczyła na inny tor...

Zatrzymaliśmy się na chwilę przed basenem z fontanną. U naszych stóp rozpościerała się gładka powierzchnia wody, czarna jak stara laka; inkrustowały ją mozaikowo świeżo opadłe oraz zeszłoroczne rdzawe liście. Z grubych paszcz trytonów tryskały w górę leciuchne strugi, obok zaś, w ześlizgującym się z pnia pobliskiego drzewa promieniu słońca, czerwono - czarny motyl poruszał skrzydłami powoli, jakby odpędzał niewidzialnego wroga.

Girval uniósł głowę i spojrzał na mnie.

- Tu, pod tymi drzewami, usłyszałem od Premery'ego niezapomniane zwierzenie... Przechadzałem się w jego towarzystwie, w tym miejscu przystanąłem. „Tu” - rzekł do mnie - „najrozumniejsza kobieta, jaką znałem, pewnego razu, gdym się nad nią litowałem z powodu jakiegoś doznanego przez nią rozczarowania, oświadczyła mi: «Niczego i nikogo nie należy oskarżać o zdradę czy rozczarowanie; każdy spełnia swoje przeznaczenie, gdy postępuje po prostu zgodnie ze swym charakterem. Nie tyle oszukiwani jesteśmy przez innych, ile sami siebie oszukujemy. Skoro nie potrafisz zobaczyć tego, co kryje się w danym stworzeniu, czemu masz do niego żal? - Nigdy nie zapomniałem tych słów, Aleksandrze, one oświeciły mnie. Nie zapomnij i ty”. Powtarzam je panu, panie Volpelier.

- Któż to rozmawiał z Joachimem?

- Przypuszczam, że pani de Clemadienne. Przez dziesięć lat była jego jedyną miłością; korespondowali z sobą codziennie, nawet wtedy, gdy się widywali. Każdego wieczora przed udaniem się na spoczynek Premery wysyłał do pani de Clemadienne ośmio - czy dziesięciostronicowy list. Obawiam się, że te listy zostaną opublikowane dopiero po jego śmierci! Niech pan zważy: co to za dokument rozwoju jego ducha!

- Czy pan zna panią de Clemadienne?

- Raz ją widziałem. Jest to wiekowa, majestatyczna dama o ostrym głosie i oczach jeszcze dziś przepięknych. Teraz dopiero, od niedawna Premery widuje się z nią znów. Po zerwaniu nie dawali sobie znaku życia przez blisko dwadzieścia lat.

- A dlaczego się rozeszli?

- Tego nikt nie wie. Jest dość prawdopodobne, iż pani de Clemadienne stała się bardzo despotyczna i że Premery, którego sława właśnie wtedy wschodziła, nie mógł znieść tej tyranii. Inni twierdzą, iż w owym czasie zakochał się bez pamięci w tej Amerykance, dla której omal się nie rozwiódł. Z pewnością musiała być ogromnie zazdrosna o wpływ pani de Clemadienne.

- A czy Premery istotnie był kochankiem pani de Clemadienne?

- Kto to może wiedzieć? Jedno jest pewne: to, że to ona nakłoniła go do napisania Nowych rozważań o życiu ludzkim i że ona jest Ifigenią w Ifigenii wyzwolonej, a także hrabiną de Randau z Zamroczenia potęgą. Premery zwierzył mi się kiedyś, iż jej zawdzięcza zdobycie dwudziestoletniego doświadczenia w ciągu dwóch lat.

- ...które to doświadczenie pragnie z kolei przekazać panu? Oczy Girvala rozbłysły rozrzewnieniem, głos mu się załamał.

- Joachimowi Premery'emu zawdzięczam wszystko. To jest nie tylko największy talent swej epoki, to" również serce najgorętsze, najszlachetniejsze, najczulsze. Nikt nie wie, jak wielka jest jego dobroć i ile jest w nim delikatności. Kiedyś ogłosiłem o nim artykuł w gazetce w Montpellier... Napisał do mnie, prosząc, bym go odwiedził. Przybyłem tu z duszą na ramieniu. Rozmawiał ze mną przez dwie godziny... Dalszy ciąg pan zna... Chciałbym - dodał Girval - wzorem Premery'ego, w każdej chwili cierpienia móc powiedzieć sobie: „Jestem nieszczęśliwy jedynie z powodu własnego zaślepienia, należało wiedzieć, z kim mam do czynienia. Jestem ukarany za swój nierozum". Lecz nie posiadam mocy duchowej naszego dostojnego przyjaciela. Przy całej swej serdeczności, umie być twardy, gdy zachodzi potrzeba. Nigdy nie roztkliwia się nad sobą. Jest dobry w czynach, nie w myśleniu, a z sentymentalizmu wyzbyty niemal zupełnie. Lecz jest stary, a ja młody. Nieraz śmiał się ze mnie mówiąc, że w mym głosie brzmią jednocześnie: echo Villona i refren Mimi - Pinson. I dodawał: „Jesteś typowym Francuzem. Doniczka z lewkonią na oknie - to poezja Francuzów. Nawet w Wiktorze Hugo było coś z Berangera". To prawda, ale cóż na to poradzić?

Mnie osobiście sentymentalizm Girvala nie raził.

Zbyt wiele spotykałem na swej drodze drapieżnych rekinów, by nie polubić tego ptaka, który mi towarzyszył przez chwilę.

- Zostań pan lepiej taki, jaki jesteś - powiedziałem zatem.

- Pan Premery jest odmiennego zdania - odparł Girval, odwracając głowę, - Podaliśmy sobie dłonie i rozeszliśmy się przed fasadą Wielkiego Trianon.

* * *

Od chwili najazdu Jaulgonne'ów byłem coraz rzadszym gościem Joachima. Nie twierdzę, że ich obecność była dla

mnie antypatyczna, lecz przeszkadzała mi w prowadzeniu owych rozmów, które lubiłem nade wszystko. Bardzo możliwe, że pani de Jaulgonne wyczuła moje skrepowanie lub sam się przed nią mimowolnie z nim zdradziłem; w każdym razie zaczęła zasypywać mnie grzecznościami. Zdwoiłem czujność, ona - swą uprzejmość. Mogło się to przeciągać Bóg wie jak długo. Brygida sama położyła kres tej komedii, zapraszając mnie pewnego dnia na śniadanie; za pierwszym razem odmówiłem. Niebawem ponowiła natarcie; musiałem ulec.

Przyjęli mnie oboje w jadalni obszernej i chłodnej, w której nic nie należało do nich, wszystko było wynajęte razem ze ścianami. Wywnioskowałem to, patrząc na niepewne zachowanie się lokaja o wyglądzie rzezimieszka jak również na powolność obsługi.

Pani de Jaulgonne najwidoczniej pragnęła mnie pozyskać. W jakim celu, nie wiedziałem. Hektor był nader uprzejmy i raczył kilkakrotnie uśmiechnąć się swą drewnianą, wygoloną twarzą o wzgardliwie wydętych wargach.

Brygida rozwodziła się nad przywiązaniem Joachima do mnie, potem sięgnęła do odległych wspomnień. Ostatecznie byliśmy przyjaciółmi z dzieciennych lat. To mogło poniekąd wystarczająco tłumaczyć jej serdeczność. Wspomniałem jednak zdanie mego sędziwego przyjaciela: „Brygida ma akurat tyle sentymentalizmu co ja”... Do czego zatem zmierzała?

Patrzyłem na nią i znów musiałem stwierdzić bystrość sądu Joachima; Brygida była wręcz wpatrzona w Hektora.

Gdy dwa lub trzy razy przerwał jej szorstko, słysząc jej przesadne pochwały, rzuciła mu spojrzenie zbitego psa.

- Mamo - rzekł - zaklinam cię, wyrażaj się prościej.

- Synowie ganią moją czułość dla nich, mój kochany Leonie - zwróciła się do mnie. - Czy to coś zdrożnego? Twoja matka, pamiętam, miała cię zawsze przy sobie.

Potwierdziłem bez zapału.

Kawę podano w na poty pustym salonie, którego trzy wielkie okna wychodziły na bulwar Królowej. Brygida kilkakrotnie czyniła w rozmowie aluzje na temat złego stanu zdrowia ojca. Gdy zaznaczyłem swe zdziwienie z powodu jej obaw, pokiwała głową melancholijnie z miną osoby dobrze poinformowanej lecz dyskretnej.

- Straciłeś go z oczu na długi czas. Ale dla nas, którzy obserwujemy go codziennie i widzimy w nim zmianę, stanowi to wielką troskę. Odnoszę wrażenie, że ojciec ma kłopoty, z którymi kryje się przed nami - dodała.

Ostatnie zdanie wzbudziło we mnie na nowo podejrzenie, że Brygida cichaczem, nieznacznie zadzierzga nici jakiejś sprytnej intrygi. Zdwoiłem swą czujność.

Po kilku dniach otrzymałem list od Brygidy de Jaulgonne. Pisała, że pragnie się ze mną koniecznie widzieć. Chodziło o pilną sprawę, w której potrzebowała mej pomocy.

Aha, jesteście w domu! - pomyślałem.

Przyjęła mnie gorąco.

- Nie zawiodłam się na tobie, przyjacielu. Byłem pewna, że przybędziesz na pierwsze wezwanie. Sprawa dotyczy mego ojca...

Przyszło mi na myśl, że Brygida poprosi, bym przekonać Joachima, iż powinien kandydować do Akademii. Lecz tu nie o Akademię chodziło!

- Dziwisz się zapewne, że zwracam się do ciebie o pomoc...

- Przyznam, że istotnie...

- Zechciej zrozumieć, Leonie! Znasz usposobienie mego ojca; jest wyniosły, ponury, zazdrośnie strzeże swej

niezależności. Nie mam na niego żadnego wpływu. Poza tym z dawnych czasów zachował żal do mnie, gdyż w pewnych okolicznościach stawałam po stronie matki. Wtedy wiele przez niego wycierpiała. Ale zostawmy te rzeczy w spokoju... Otóż chodzi mi o to, że nasz stosunek pełen uprzejmości, nie jest serdeczny, poufny... Nie mogę rozmówić się z ojcem całkiem otwarcie, ze szczerego serca. Ty zaś możesz to uczynić...

- Zdaje mi się, Brygido, że nieco przeceniasz...

- Bynajmniej. Ernest Volpelier był najbliższym jego przyjacielem; część tego uczucia ojciec przeniósł na ciebie. Twoje przybycie po tylu latach rozłąki sprawiło mu niewymowną radość; od młodniał, odnajduje minione lata. Przecież ty tak przypominasz swego ojca! Jestem przeświadczona, iż należysz do tych nielicznych osób, których zawsze słucha chętnie i z uwagą. Dlatego właśnie postanowiłam przedstawić ci swoje zamiary i uczynić cię ich rzecznikiem.

Niepodobna powtórzyć w całości długiej przemowy Brygidy de Jaulgonne, zwłaszcza iż po powyższym wstępie, zamiast przystąpić do rzeczy, wróciła do wspomnień z dzieciństwa. Nigdy nie myślałem, bym pozostawił jej ich aż tyle, tak plastycznych i tak sentymentalnych! Gotów byłem doprawdy sam rozplakać się z rozrzewnienia! Wreszcie Brygida opanowała się i wówczas, pośród całej tej przemyślnie uszykowanej flotylli ujrzałem wyłaniający się w całej okazałości okręt admirałski z wywieszoną banderą.

- Tak, Leonie, muszę ci się zwierzyć, że syn mój Hektor zapłonał nader żywym afektem ku pannie Hallencourt. Małżeństwo z nią jest jego najgorętszym pragnieniem. I moim również.

Trudno mi opisać moje zdumienie.

Zdziwieniu temu towarzyszyło pewne zakłopotanie, byłem rozczarowany, pełen irytacji i skrepowania.

- Ale - rzekłem - nie widzę tu roli, jaką mam odegrać.

Pani de Jaulgonne nie odpowiedziała od razu. Najwyraźniej była zażenowana. Zaskoczyła ją moja powściągliwość; liczyła, iż znajdzie we mnie słuchacza pełnego entuzjazmu, co by ułatwiło jej realizację planów.

- Byłabym niezmiernie rada - rzekła - gdybyś porozmawiał dyskretnie na ten temat z moim ojcem. Chciałabym wiedzieć, co on o tym myśli. Ot, mógłbyś, na przykład, zwrócić uwagę na wygląd Hektora, dać do zrozumienia, iż Hektor ma jakieś troski, dręczą go niepokoje oraz napomknąć, że przyczyną ich jest zapewne panna Hallencourt... naturalnie, nie nalegając zbytnio...

- Nie sądzę, Brygido, by taka metoda wobec Joachima była najwłaściwsza.

- Może masz słuszość, Leonie - uśmiechnęła się z afektacją. - Jeżeli cię pytam o radę, to dlatego, że ci ufam: uczynię wedle twej wskazówki. Myślisz, że należy przedstawić mu sprawę całkiem otwarcie?

- Bez wątpienia.

Przechyliła na bok wyblakłą, zwiędłą twarz i dodała:

- Być może, istotnie, tak będzie najlepiej. Zatem podejmujesz się pośredniczenia w moim imieniu?

- Ależ, Brygido, nie rozumiem, o co ci chodzi. Życzysz sobie, bym doniósł twemu ojcu o uczuciu Hektora do panny Hallencourt. Czemu? Powiedz mu to sama. Czyż sprawa jest aż tak doniosła?

- Powtarzam ci, że ojciec nam nie dowierza. Otóż nie chodzi jedynie o przyzwolenie; ojciec ma wielki wpływ zarówno na Elizę jak i na pana Hallencourta. Gdyby pojawiły się trudności, jego zdanie byłoby rozstrzygające.

- Lecz... czy panna Eliza kocha twego syna?

- O, Hektor jest zbyt dobrze wychowany, aby choć słówkiem poruszyć ten temat bez uprzedniego zawiadomienia pana Hallencourta. Wydaje mu się jednak, i ja spostrzegam to również, iż nie jest jej obojętny...

Serce mi się ścisnęło: tak więc ten zachwyt, ta czułość Elizy dla mego dostojnego przyjaciela miały swe źródło w jej miłości ku Hektorowi!

Rzecz się tłumaczyła całkiem jasno, lecz brzmiała w tym nuta fałszywa, zwodzenie Joachima wydawało mi się niestosowne.

- Obawiasz się zatem przeszkody?

- Pan Hallencourt, to taki dziwak! Ale ma tyle szacunku dla mego ojca! - odparła Brygida wymijająco.

Nie mogłem się powstrzymać, by nie zapytać pani de Jaulgonne, czy przewiduje, że Premery ucieszy się tą wiadomością.

- Powinien uradować go fakt, który, być może, uszczęśliwi jego wnuka, prawda? Skinałem głowę, pokonany, aczkolwiek wcale nie przekonany. Trzymałem w ręku motek nader powikłanych nici. Na twarzy Brygidy malował się wyraz dobrej woli, wyraz pokorny, niemal unizony, lecz chwilami w jej nieruchomych źrenicach migały jakieś dziwne błyski. Miałem wręcz wrażenie, że jestem śledzony.

Wstałem z fotela w fatalnym nastroju i przeszedłem kilka kroków po okropnym salonie. Brygida pomyślała, że mam zamiar ją opuścić bez przyjęcia żadnego zobowiązania i zatrzymała mnie błagalnym spojrzeniem. Moja nieufność wzrosła. Misja, którą mi wyznaczano, musiała mieć większą doniosłość, niż przypuszczałem, bądź też należało obawiać się poważnego¹ oporu ze strony pana Hallencourta lub Joachima. Podjąłem rozmowę i przeciągałem ją, w nadziei, że w końcu uda mi się schwycić w tym labiryncie nitkę Ariadny; Brygida jednak unikała stanowczej odpowiedzi. Szczerze pragnąłem

odmówić swego udziału w całej sprawie, lecz pani de Jaulgonne tak długo starała się mnie nakłonić, iż wreszcie uległem. Ostatecznie, krok ten nie kosztował mnie tak wiele. Być może również własna moja ciekawość przyczyniła się do tego, iż odpowiedziałem: „tak”. Tylko przyjmując to zlecenie, miałem niejakię szansę wyjaśnienia sobie sytuacji.

- Zatem masz nadzieję, że moja interwencja sprawi, iż w razie niepowodzenia Joachim wpłynie na pana Hallencourta, a może na samą Elizę.

- Właśnie! - zawołała Brygida tak żywo, iż zrodziło się we mnie podejrzenie, że jestem na fałszywym tropie...

Chodziło więc o coś innego, lecz o co? Pani de Jaulgonne najwidoczniej coś szczególnego miała na myśli, czym była tak pochłonięta, iż nawet nie zaprotestowała, gdy wspomniałem, że wątpię w uczucie Elizy. Ona, która niemal ręczyła za jej wzajemność względem Hektora!

- Ojciec mój - dodała - jest nie tylko genialnym człowiekiem, którego co dzień widzisz; jest to również niepospolity dyplomata. Jeżeli weźmie do serca sprawę małżeństwa Hektora z Elizą, to wygra ją z pewnością. Zwłaszcza gdy się dowie - dodała z właściwą jej tajemniczością - iż daleki kuzyn Elizy, pan de Locquincourt, sekretarz ambasady w Pekinie, nosi się z zamiarem, o czym wiem z najpewniejszego źródła, oświadczenia się o jej rękę. Będziesz łaskaw również to powtórzyć ojcu?

Zgodziłem się na wszystko i pożegnałem panią de Jaulgonne nie bez pewnej irytacji. Drażniła mnie nieco myśl, że oto zostałem wmieszany w sprawę, w której byłem ciemny jak tabaka w rogu.

Rozdział 4

Nie było mi zbyt pilno wystąpić w roli ambasadora. Podczas mych wizyt zastawałem Premery'ego bądź w towarzystwie Girvala, bądź Elizy lub Brygidy. Rad byłem, że zyskuję na czasie i wciąż spodziewałem się, że jakaś nowa okoliczność otworzy mi oczy i będę mógł przedstawić Joachimowi sprawę jasno.

W tydzień po mojej bytności u pani de Jaulgonne Premery zaproponował mi wspólną wizytę u panny Hallencourt oraz u pana de Gordes, wuja Elizy. Wyruszyliśmy powozem, którego Joachim zwykł używać do dłuższych wycieczek. Gdy tak siedział obok mnie z zarzuconym na ramiona szkockim pledem, prosty i rześki mimo brzemienia lat, Joachim imponował mi całą swą postacią i patrzyłem nań z podziwem.

Pojazd zatrzymał się na ulicy Kanclerskiej.

Minąwszy ciemne drzwi o szerokich podwojach, zaokrąglone u góry, stanęliśmy na brukowanym dziedzińcu, który się do nas uśmiechnął swym starofrancuskim wdziękiem. Gdzie niegdzie kamienie porastał mech - leciutka piana pozostała po odbiegłych falach czasu. Po lewej stronie, widniał dom jasnej barwy, którego pierwsze piętro było nader wysokie, o długich, wąskich oknach z zielonymi jeszcze szybami. Nad przyzbą zwisiała żelazna rzeźbiona latarnia.

Jeszcze kilka kroków - i byliśmy na schodach w stylu osiemnastego stulecia. Ciężkie, drewniane krzesła rezydowały na zakrętach. Przebywszy pierwsze trzy stopnie, ujrzeliśmy przed sobą marmurowe popiersie: dama o pudrowanej peruce zmierzyła nas wyniośle z głębi swej niszy. Ledwie stanęliśmy w korytarzu, gdy w drzwiach ukazała się głowa Elizy.

- Nie jestem jeszcze gotowa - usłyszeliśmy. - Proszę nie odjeżdżać beze mnie! Główka zniknęła; Premery uśmiechnął się.

Do licha - rzekłem sobie w duchu. - Będzie uszczęśliwiony jeżeli Eliza zostanie jego wnuczką... Po cóż jednak Brygida działa tak ostrożnie?...

Pan Hallencourt powstał na nasze powitanie, a w chwilę później weszła do pokoju Eliza.

- No cóż, Elizo - rzekł Premery. - Proszę porozmawiać z nami. Jakże się miewają twoje laleczki?

- A pańskie, panie wielki człowieku? Śmiejesz się pan ze mnie, tak jakbyś sam nie miał swoich, podobnie jak i tatuś.

- Moje nazywają się: Kadmos, Herakles, Tezeusz, Pandora.

- Ojczulka zaś: Paweł III, Innocenty X, Juliusz II.

Pan Hallencourt, oburzony takim brakiem respektu, wzruszył ramionami, lecz nie śmiał się odezwać, by nie rozgniewać Joachima.

- A twoje lalki, Elizo, jakież noszą imiona?

- Takie jak bohaterki Waltera Scotta albo Georges Sand! Mam Antonię: jest to biada, jasnowłosa Angielka, której przytrafiło się nieszczęście: w podróży przez Morze Czerwone straciła bursztynowy naszyjnik. Pożarł go rekin. Jest i Walentyna: to mała Francuzeczka, która potrafi odgrywać komedię niczym dorosła osoba oraz podejmować herbatką swe przyjaciółki.

- To wszystko?

- Nie, mam jeszcze Martę. Lecz o niej nie lubię opowiadać... Ta przeszła wiele w życiu: zakochała się w królu potężnym, zbyt potężnym dla niej, nie mogła zostać jego żoną i z rozpaczy roztrzaskała sobie główkę o róg kominka... Nie można było jej skleić i teraz jest pusta jak jajka wielkanocne podawane w domach Słowaków.

- Elizo - przerwał pan Hallencourt, pragnąc powrócić do swego Montanusa - nudzisz nas swoimi historyjkami...

Eliza odwróciła w jego stronę gorejącą gniewem twarz.

- Czy to prawda, że was nudzę? Panie Premery, proszę odpowiedzieć: nudzę pana? Oczy jej byty pełne łez, pierś falowała. Miała w sobie coś rozpaczliwego i błagalnego. Stary pisarz położył dłoń na jej ramieniu.

- Tak, nudzisz mnie, Elizo... Nudzisz tak jak słowik nudzi stare drzewo, przysłuchujące się jego piosence w czas krótkiej nocy majowej...

Eliza zarumieniła się.

- Ariusz... - zaczął pan Hallencourt.

- Kochany panie Hallencourt, o Ariuszu pomówimy innym razem. Dziś muszę wraz z Elizą i panem Volpelier odwiedzić pańskiego szwagra. Obawiam się, że te zbyt poważne dyskusje znużą naszych słuchaczy. Proszę wpaść kiedyś do mnie, pomówimy o Bizancjuszu i jego szaleństwach...

- Ach, jedzicie do pana de Gordes! - rzekł cierpko Hallencourt. - Ten stary frant przynajmniej nie znuży waszego umysłu. Ciekawy jestem, co też się wam podoba w tym głupcu?

Eliza w przypominającym kształtem kask Hermesa kapeluszu, dołączyła do nas w przedpokoju.

- Tatuś jest nieznośny! - rzekła nadąsana, wydymając swe śliczne usteczka. - Nienawidzi biednego wuja Gordesa dlatego, że tamtego nie interesują ani Farnese, ani Borgiowie. No i co z tego? U niego przynajmniej mam swoją własną przeszłość, coś po mej biednej mamie i trochę wspomnień. Tu tego nie posiadam. Co mają robić moje wspomnienia z dzieciństwa pośród tylu papieży? Szczęście to jeszcze, że Kościół Rzymski liczy tylko dwadzieścia wieków egzystencji; gdyby miał czterdzieści stuleci, tatuś z pewnością zapomniałby mego imienia!... Eliza to jednak ładne, prawda, panie Premery? Pragnęłabym, aby pan ochrzcił tym imieniem jedną ze swych bohaterek, tę, którą pan wprowadzi do

najnowszej swej powieści; w ten sposób będę miała wrażenie, że mam swój kącik w pańskiej twórczości.

- Nie napiszę już powieści, Elizo.

- Dlaczego? Proszę tak nie mówić!

- Wiesz dobrze, że zapewne nie zdołam skończyć Zbieraczy kości... Umrę przedtem! Znowu, jak przed chwilą, oczy pana Hallencourt zaszklily się łzami. Dziewczyna chwyciła dłoń Joachima i ścisnęła ją konwulsyjnie.

- Niech pan nie mówi takich rzeczy! Proszę nie mówić, że kiedyś mi pana zabraknie! Nie mogłabym żyć bez pana...

- Ależ Elizo - śmiejąc się rzekł Premery - kiedyś to musi nastąpić. Nie jestem nieśmiertelny.

- W taki razie wolę umrzeć pierwsza. Ja nie jestem nikomu potrzebna, do niczego nie jestem przydatna. Pierwszy lepszy Innocenty, czy którykolwiek z Juliuszów zastąpi mnie dostatecznie w oczach ojczulka... A pańskie życie jest tak cenne! Niech pan pomyśli o wszystkim, co pan jeszcze może napisać...

- Elizo - przerwał jej Premery tonem nieco gderliwym - wiesz dobrze, że nie lubię dziwactw ani dziecinnej paplaniny!

Podniosła ku niemu zdziwiony wzrok i zamilkła. Odczułem, że słowa Joachima głęboko ją uraziły.

Powóz zdążył ulicą Rezerwuarów. Pan de Gordes zamieszkiwał ową białą, czyściutką kamienicę, w której swego czasu przebywał La Bruyere. Nie bez wzruszenia przyglądałem się jej fasadzie, dziedzińcowi ogrodzonemu zielonym parkanem, z górującymi nad nim wielkimi drzewami oraz trzem piętrami, z których środkowe było najniższe.

Wyciągnięty w fotelu, do którego przykuwały go zreumatyzowane kończyny, pan de Gordes mimo zniedołężnienia wywierał wrażenie bardzo pięknego mężczyzny. Było w nim coś z burgrabiego i coś z korsarza.

Skoro tylko dotknąłem jego suchej dłoni, przypominającej szczypcę kraba, oczarował mnie swoim urokiem.

- Doskonale - rzekł niemal radośnie. - Przyszlście obejrzeć fabrykę wapna. To bardzo zacnie z waszej strony. Fabryka w pełnym ruchu. Spodziewane są tegie dywidendy!

Śmiał się, pełen kurażu. Eliza uścisnęła go.

- Czy bardzo cierpisz, kochany wuju?

- Musiałem gdzieś kiedyś bezwiednie podpisać kontrakt z cierpieniem i oto teraz ono upomina się o swój udział w dochodach... Kiepski to interes starzeć się, moja maleńka! Kiepski to interes być młodym. Spodziewasz się wszystkiego, a nie zyskujesz nic. Najszczęśliwszy z nas jest pan Volpelier: to najlepszy wiek.

- Nie zdaje mi się, proszę pana; nie mam ani złudzeń, ani mądrości. Jestem jak owoc zielony, co gnije na gałęzi, choć jest niedojrzały. Myślę, że brakło mi słońca, nie wiem już jakiego, boć przez piętnaście lat prażyło mnie słońce chińskie, a ono jest bezlitosne. Ale w ciągu tych lat piętnastu zostałem półchińczykiem, nie przestając być na poły człowiekiem Zachodu; wyzbyłem się europejskiej dzikości, nie nabywszy jednak cywilizacji Azji; stoję na rozstaju dróg jak i na rozdrożu czasów. Powiem za panem, panie de Gordes: kiepski to interes być na rozstaju!

- Zatem nikt z nas nie jest zadowolony, chyba jeden Joachim Premery! Mój przyjaciel uniósł głowę.

- Wiedziałem zawsze - odparł - co życie może dać człowiekowi. Tego pragnąłem i to osiągnąłem. Mogę jutro umrzeć, odejdę bez żalu. Lecz to, czego pragnąłem, nigdy nie było w sprzeczności ze mną samym ani z Naturą. Zawsze usiłowałem dążyć do tej harmonii, która istnieje we wszechświecie, a którą ludzie sztucznie niweczą. Na cóż miałbym się skarżyć? Szaleństwa i burze młodych lat były mi

drogą do dojrzałości, dziś zaś patrzę, jak się moje życie pochyła ku mogile.

- Lecz cierpiałeś pan przecież - wtrąciła z irytacją Eliza.

- Nigdy nie utrzymywałem, by cierpienie miało być wyłączone z życia doskonale wypełnionego rytmem i harmonią. Cierpienie, jak każda rzecz, posiada swój styl, lecz wrogiem duszy ludzkiej jest nie cierpienie tylko przeciętność i tępota. Potrafiłem obronić się przed nimi. Jeżeli Natura obrała sobie człowieka za pana, nie było wcale jej celem stworzenie widowiska nieładu większego niż jej własny nieład. Natura może wiele, bardzo wiele, jedno tylko jest jej obce: jedność celu. Istotą Natury jest sprzeczność, trzeba ją równocześnie niszczyć i zachowywać. My jesteśmy mniej skomplikowani; stąd nasza wielkość. Człowiek spokojny mimo wszelkich burzy i zamieci staje na końcu swej drogi, opróżniwszy pełną miarę szczęścia, jakie mu życie dać mogło.

- Czy pan był szczęśliwy? - zapytał pan de Gordes.

- Ja... jestem szczęśliwy.

Z kolei pan de Gordes zaczął mówić o szczęściu. Szukał go - jak zapewniał - w miłości i w ambicji. Namiętny za młodu wmieszał się później w życie polityczne swego kraju. I tu, i tam doznał rozczarowania.

- Szczęście - rzekł Premery - nie tkwi w miłości ani w ambicji. Szczęście jest... w szczęściu! Pan, panie de Gordes, goniłeś za Fortuną, jak ów bohater bajki La Fontaine'a; Fortuna była w pańskim łóżku lub w każdym razie w sercu.

- Zatem, pańskim zdaniem, zmarnowałem życie - rzekł pan Gordes, z odcieniem irytacji.

- Któż mówi o marnowaniu życia? Oto właśnie puste słowa! Spełniłeś pan swe przeznaczenie. Natura niczego innego od pana nie wymagała. Jeżeliś pan w mniejszym lub większym stopniu zadowolony, wynika to wyłącznie z

pańskiej osobistej skłonności do odczuwania radości lub smutku.

- Elizo - zwrócił się pan de Gordes do swej młodej siostrzenicy - nie słuchaj tego człowieka. Gotów by nam obrzydzić nawet bunt, tę rozkosz fałszywych bogów! Koniec końców, panie Premery - dodał ze złością - ja tam nie chcę waszego szczęścia, wolę już tę swoją niedolę!

- Nie głoszę kazań; nie stawiam siebie za wzór, nie jestem odszczepieńcem ani chrześcijaninem; stwierdzam tylko, że starałem się być posłuszny prawom życia, nie zaś sprzeciwiać się im!

- Ojciec twój zdrow? - zagadnął Elizę wuj. - Czy wciąż tak samo nudny? Kiedy go widzę, wydaje mi się, że schodzę do jakiejś mroźnej krypty, w której głuchy mnich zacznie mi odczytywać martyrologię wypisaną na ścianach!

- Wuj Paweł bardzo twardo wyraża się o tatusiu - rzekła Eliza, gdyśmy schodzili. - To mnie głęboko smuci.

- Ba! - odparł Premery - ludzie stworzeni są po to, by się różnić.

Nadszedł wreszcie dzień owej fatalnej rozmowy z Joachimem Premerym. Pewnego razu znużony zatelefonował do mnie, prosząc, bym odwiedził go w godzinach, które zazwyczaj poświęca pracy. Przyjął mnie w swej bibliotece wykładanej staroświeckimi płaskorzeźbami. Stał na drabince szukając czegoś na górnych półkach.

- Opuściłeś mnie w chwili, gdy najbardziej pragnąłem z tobą porozmawiać. Odrzekłem, iż miałem mu również wiele do powiedzenia, więc zasiedliśmy w obszernych fotelach, gotując się do długiej dysputy. Tuż za otwartym oknem subtelnym rysunkiem mnóstwa misternych koronek i arabesek, mieniących się w błękitnym powietrzu znaczyły się gałązki ogrodowych drzew. Ptaki śpiewały, wiodły ową

rozmowę płynną, prężną, błyskotliwą, niby jakiś dialog zaklętych źródeł w rajskim gaju.

Wysłuchawszy kilku anegdot o panu de Gordes, przystąpiłem do swego tematu.

- Niech pan sobie wyobrazi, iż przybywam jako emisariusz pani de Jaulgonne. Twarz mego dostojnego przyjaciela spochmurniała.

- Brygidy! Czegóż, u diaska, ona chce ode mnie? - zawołał z osobliwym pośpiechem.

- Hm! To sprawa dość zawiła! Ona nie śmie przemówić osobiście, nie umiem powiedzieć czemu. Krótko a węzłowato: Brygida pragnie panu donieść, że Hektor jest zakochany w pannie Hallencourt i że ma zamiar ją poślubić!

Nie zdążyłem dokończyć swego zdanie, gdy Premery wybuchnął jak płomień. Z twarzą nabiegłą krwią stał przede mną niezwykle wzburzony.

- Niemożliwe! Niemożliwe! - powtarzał. - To szaleństwo z jego strony!

- Czemu?

Owo proste pytanie oszołomiło Joachima; rzucił mi spojrzenie nieufne, jakby widział we mnie nie bezstronnego posła lecz tajnego sprzymierzeńca, współnika Jaulgonne'ów.

- Ona jest za młoda! - zawołał.

Widoczne było, że mówi na chybił trafił, że posługuje się pierwszym z brzegu argumentem, że pytanie zdezorientowało go. Widziałem również, iż usiłował opanować się, uśmierzyć swój gniew. Lecz nie mógł się powstrzymać.

- Aha! Oto dlaczego ta intryganta Brygida i ten jej godny synalek zjechali do Wersalu; więc to dlatego ciągle sterczą u mnie! Jakże mogłem się tego nie domyśleć? Nie poznać się zupełnie na ich podstępnej robocie? I uważam się za obserwatora? Pięćdziesiąt lat życia strawiłem na studiowaniu ludzkiej natury i teraz, w moim wieku, daję się okpić tym

dwojgu, których sposoby dobrze mi są przecież znane. Ha, Volpelier, czas mi umierać, to już koniec, jawna degrengolada! Wzrok mam przytępiony... Zresztą, jeżeli ten związek kiedykolwiek dojdzie do skutku, lepiej będzie, gdy umrę! Widzieć Elizę żoną Hektora! Takie dziecko czyste, szlachetne, dumne, taki skarbiec romantyzmu duszy i ten bałwan bez serca, wcielona proza i wyrachowanie! Mój wnuk...

Powtórzył: „Mój wnuk!” z akcentem szczególnej goryczy, śmiejąc się sarkastycznie. Było mi dziwnie ciężko, zmieszałem się. Joachim zbliżył się do mnie.

- Ty również będziesz myślał o mnie to samo co inni! Czy to moja wina, że nie jestem ślepy i widzę jasno, czym jest Brygida, czym Hektor? Czy myślisz, że nie byłoby mi przyjemniej mieć córkę i wnuka godnych mnie? Czy ja intrygowałem, czy płaszczyłem się jak oni, czy byłem żebrakiem opinii publicznej, poniżałem się, kupczyłem swoim dziełem? Czy mniemasz, że ja także nie snułem tysięcy projektów na temat losu Brygidy a potem mych wnuków? Tak, pragnąłem mieć dzieci podobne do mnie. I przechodziłem katusze, będąc przy - narodzinach ich charakterów, patrząc, jak się kształtują. Ta Brygida, tchórzliwa ale sprytna, Brygida, która się wdzięczyła do mnie, by mieć pieniądze, sukienki, a potem obmawiała mnie i zdradzała; Brygida, która wyszła za męża bez miłości, jedynie przez próżność, ona zgotowała mi najsroźsze rozczarowanie w życiu. Teraz dla Hektora rozpoczyna na nowo tę wstrętną pogoń za karierą, za pieniędzmi... Gdyby chociaż kochał Elizę!

- Może jest w niej zakochany.

- On? Zakochany? Wolne żarty! To niemożliwe! Hektor od dawna już ma stosunek z pewną meżatką, kobietą znacznie od niego starszą, która należy do wyższego towarzystwa, a

jego eksploatuje... Narobił nawet z jej powodu sporo długów. Musiałem interweniować kilkakrotnie. W tych właśnie okolicznościach poznałem go na wylot. Musiałem interweniować, bądź usiłując, zawsze daremnie, doprowadzić do zerwania, bądź też po to, by spłacić jego długi u lichwiarzy. Przez tę półkokotę, wiecznie potrzebującą pieniędzy, Hektor został graczem. Hm, może i był nim od urodzenia... O ile w ogóle jest zdolny do kochania, to kocha tę właśnie kobietę. Widziałem ją: ruda, dość piękna, czarnooka, jedna z tych Śmiesznych kobiet, którym kroniki towarzyskie dzienników nadają epitet „wyzywających”, typ jakiejś Circe dla komiwojażerów. Trzyma Hektora mocno, nietrudno odgadnąć przyczynę i charakter tych więzów. Nie puści go... Czegóż więc ostatecznie Brygida żąda ode mnie?

- Pańskiego poparcia. Tuszy, iż pan wpłynie na pannę Hallencourt...

- Ha, raczej usłyszy całą prawdę! Widzieć Elizę poślubioną Hektorowi; nie, to byłoby zbyt okropne!... I wszystko po to, by jej pieniądze szły na utrzymanie pani Dalose. Nie, nie, to się nie stanie...

- A gdyby się okazało, że Hektor zdołał już pozyskać jej uczucie?...

Joachim Premery nie przewidział był tej możliwości. Zatrzymał się i spojrzał mi w oczy wzrokiem twardym, surowym.

- Czy Brygida oznajmiła ci coś w tym rodzaju?

- Nie, nie, na odwrót.

Uderzył w szczebel drabiny i zawołał z pasją:

- Ja już mam tego dość! Powiedz mi wszystko! Powtórz dokładnie słowa mojej córki. Powtórzyłem mu je możliwie najwierniej. Słuchał, ściągawszy brwi.

- Hm - mruknął - to niezbyt wiele! Brygida jest tak chytra, że z pewnością zataiła przed tobą część istoty rzeczy lub też

Hektor może nie wyznał jej wszystkiego. Jeżeli jednak ten nędznik rozkochał w sobie Elizę...

Premery zacisnął pięści; chyba w tym momencie wyczuł, iż cała rzecz rozegrałaby się wbrew jego woli, że nie mógłby nic zrobić, że pozostałaby mu jedynie rola świadka dobrze zdającego sobie sprawę z tego, jak fatalnie musi się wszystko skończyć.

Ze zwieszoną głową chodził wzdłuż obszernej biblioteki nieledwie zapominając o mojej obecności. Tkwiałem wciąż w fotelu zakłopotany i nieco zawstydzony, wściekły, że oto z powodu Brygidy wpadłem w istne rojowisko os, których ostre żądła w tej chwili nie dawały mi spokoju.

- Zastanówmy się, Volpelier, co należy zrobić? - zwrócił się znowu do mnie Premery. - Czuję, że gubię się we własnych refleksjach. W każdym razie, należy przede wszystkim zbadać, czy jeszcze nie jest za późno. Lecz jak działać? Rozmówić się otwarcie z Elizą to bardzo niebezpieczne. Zwrócić się do jej ojca? Do tego wariata?... Jedyny człowiek przywiązany do niej to Gordes, lecz on jest kaleką, a zresztą cóż on może bez zgody Hallencourta?... Trzeba by oczywiście usunąć stąd Hektora. Ja nie mam na niego żadnego wpływu, na Brygidę również... Gdybym zabronił Elizie bywać u nich? To by wywołało skandal, nastąpiłoby zerwanie moich stosunków z Jaulgonne'ami. Eliza byłaby również odseparowana. Tylko... jeżeli Eliza kocha Hektora?... Wciąż wracamy do tego samego punktu... W przeciwnym razie... Ja muszę wiedzieć prawdę! To grunt... Jakże się dowiedzieć?... Najbardziej szczerą i ufna dziewczyna strzeże z dziką, zazdrosną wstydlivością swych intymnych tajemnic, wzdraga się przed zwierzeniami, odskakuje jak sarna przed dłonią pragnącą ją pogłodzić. Jeżeli zerwanie nie nastąpi natychmiast, zachodzi obawa, że Hektor, oświadczając się Elizie, może podsunąć jej odkrycie, że jest w nim zakochana,

choćby nawet sobie z tego sama jeszcze nie zdawała sprawy... Doradź mi... To doprawdy szczególne! Gdy chodzi o sytuację stworzoną przeze mnie, jednym rzutem oka ogarniam wszystkie jej rozwiązania. Tu zaś jestem równie zakłopotany, jak student przy pierwszym wyznaniu miłosnym...

Z ogrodu, w którym ptasie świergoty były już nieco rzadsze, przesączyło się przez festony liści w otwarte okno słabnące stopniowo światło. Wskutek osobliwej gry promieni najbliższej nas widniejące listki stawały się matowe, przybierając ową ciemnozieloną, metaliczną barwę, jaką znaczą się gdy zapada mrok. Dalsze zaś połyskiwały jak medale, jak cekiny; pierwsze zdawały się zasłabłe, martwe, drugie żywe w swej nieruchomości, zalane złocistym deszczem.

- Czuję, że jesteś zgorszony - podjął na nowo Premery. - Ciebie również, jak innych, oburza moja otwartość, moja pasja jasnego ogarniania spraw. Sądzisz, że nie kocham ani Brygidy, ani Hektora. Jesteś w błędzie i nigdy się nie dowiesz co dla nich uczyniłem! Czyż mogę jednak pozwolić im by popełnili podłości? Przenigdy! Nie mam obowiązku mylić się w stosunku do nich. Starłem się nadać odpowiedni kierunek duchowy najpierw Brygidzie, następnie moim wnukom. Lecz faktem jest, iż oni wszyscy są odmiennej, obcej mi kompleksji moralnej. Nigdy nie mieli do mnie zaufania; jestem dla nich istotą innej rasy, wrogię im, niebezpieczną, groźną. Człowiekiem zaś najbardziej do mnie podobnym, którego dusza, zda się, z mojej duszy się zrodziła, jest ten Aleksander Girval. Przybył pewnego dnia z Montpelier, aby mnie poznać, jest synem jakiegoś wiejskiego doktorzyny i, zdaje się, chłopki. Ach! Ta teoria dziedziczności to dobry kawał! Każdy z nas ma w gruncie rzeczy tak samo różnorodną historię przodków; księżę i gałganiarz, człowiek genialny i kretyń, święty i zbrodniarz! Niech ktoś się w tym połapie!

- Co mam odpowiedzieć pani de Jaulgonne?

- Nic jeszcze, tymczasem. Gdy się zastanowię, sam powiem jej wszystko, co myślę. . I stanąwszy w progu z rękoma w kieszeni Premery krzyknął mi wesoło:

- A bądź spokojny, Volpelier! Brygida nie zmartwi się, jeżeli przy tej rozmowie nie będziesz obecny!

Rozdział 5

Odkąd Joachim Premery wiedział o projektach pani de Jaulgonne, starał się w stosunkach z córką zachować spokój i panowanie nad sobą, lecz widoczne było, iż jej obecność sprawiała mu mękę. Unikał przestawania z nią sam na sam, wynajdując w tym celu najprzemysłniejsze i najbardziej wiarygodne preteksty. Chwilami jego zachowanie wobec córki było z pozoru tak naturalne, iż mógłbym być wręcz przypuszczać, że Joachim zapomniał o naszej rozmowie. Lecz przelotne spojrzenia, jakie posyłał ukradkiem w jej stronę, nie odsłaniały mi istoty jego uczuć.

W postępowaniu Brygidy w gruncie rzeczy Joachim widział pewnego rodzaju zdradę, choć przecież do panny Hallencourt nie miał żadnych praw. Lecz na skutek przebywania w świecie coraz bardziej abstrakcyjnym, w zależnym od niego królestwie, Premery najwyraźniej uznał Elizę za nieodłączną część własnego ja, na podobieństwo stworzonych przez siebie postaci hrabiny Randau, Minny, Ifigenii oraz owej Pandory ze Zbieraczy kości, nad którymi pracował obecnie. Takie przynajmniej, jak się okazało później, niepełne, sformułowałem sobie wyjaśnienie zjawiska duchowego, którego istotne źródła były mi nieznane.

Oczywista rzecz, iż widok Hektora był dla Joachima jeszcze bardziej przykry. Miał jakiś szczególny sposób przyglądania się wnukowi, rozbierania go wzrokiem, od którego krew ścięłaby mi się w żyłach, gdybym był na miejscu tamtego. Premery skupił na jego osobie całą potęgę swego zmysłu obserwacyjnego, aby przekonać się o słuszności swego ujemnego sądu bądź chcąc jak najdokładniej rozwikłać wszystko, co jeszcze było kręte i mroczne w działaniu wnuka, bądź też ulegając skrupułom sumienia.

To jego natarczywe spojrzenie nieraz zatrzymywało się i na Elizie. Premery wpatrywał się w jej młode, pełne wyrazu

oblicze, spokojne niby gładka tafla stawu; szukał pierwszych najdrobniejszych znaków zapowiadających, że za chwilę może powieje wiatr nad równiną, że ptak poruszy skrzydłami, że rusałka zbudzi się, by śpiewem swym zatrzymać spóźnionego przechodnia, a świat cały wstrzyma oddech, by go lepiej słyszeć.

Pomiędzy Elizą a Hektorem niewątpliwie coś było, rozgrywała się jakaś komedia, której nie mogłem zrozumieć; dziewczyna unikała go i zarazem jakby szukała; on zaś zastawiał swe sidła to tu, to tam, w ogrodzie, na przedprożu, w jakimś kącie salonu. Sieć ta, mocno związana, a rzucona lekko i sprawnie, spadała, unieruchamiając zdobycz; nie umiałbym rozeznaczyć, czy Eliza obawiała się, czy też pożądała tych niespodzianek, tych przemyślnych zabiegów. Nikt nie wiedział, o czym szeptali, lecz gdy czasem dotarło do nas jakieś słowo, strzęp zdania, krótka replika, drobiazg zgoła bez znaczenia, widziałem, jak twarz Joachima stawała się matowa, bystre spojrzenie jego pięknych oczu gasło, zwracało się niejako do wewnątrz, jakby wyrzekał się spraw tego świata, odgradzając się kapturem mniszego habitu. W takich chwilach Premery ciężkim krokiem odchodził ze słowami: „idę pracować” i zamykał się w gabinecie. Po jego wyjściu Eliza czuła raczej skrepowanie niż ulgę i sama niebawem zegnała się z nami. Nie można więc było przypuszczać, iż czeka chwili odejścia przyjaciela, aby swobodniej rozmawiać z jego wnukiem!

Tak licznie gromadzące się chmury wróżyły bliską burzę, która istotnie wybuchła pewnego razu podczas jednego z naszych zwykłych zebrań. Eliza kręciła się pomiędzy gośćmi częstując herbatą, owocami, ciastem. Obecni tego dnia Adrian Milne i Jan Pierrotey częstowali nas ze swej strony całym stekiem plotek. Ktoś w rozmowie wymienił tytuł świeżo wystawionej wówczas sztuki odnoszącego głośnie sukcesy

dramaturga Claude'a Lothaire'a; wywiązała się dyskusja na temat trwałości tych triumfów. Milne i Pierrotey, unoszeni owym prądem, jaki w pewnych epokach pociąga wszystkich w tym samym kierunku, wychwalali publiczność, której upodobania zaspokajała ta sentymentalna bzdura. Premery milczał, ćmiąc papierosa i przyglądając się wijącym się spiralnie błękitnym smugom dymu. Pani de Jaulgonne perorowała zawzięcie. Nagle zabrała głos Eliza.

- Nigdy w teatrze nic mnie tak nie wzruszyło jak piąty akt Jean des Entommeures - oznajmiła.

Taki sąd rzeczywiście mógł Joachima Premery przyprawić o pasję. Obrócił się ku pannie Hallencourt i rzekł szorstko:

- Jak możesz mówić coś podobnego, Elizo? Claude Lothaire w takim stopniu jest poetą, w jakim zapalacz latarni Ruggierim! Kto jak kto, ale ty powinnaś umieć rozpoznawać fałszywe kamienie i nie brać ich za brylanty!

Eliza zaczerwieniła się, posławszy Joachimowi rozpaczliwe spojrzenie. Wówczas Hektor wdał się w tę sprawę by stanąć po rycersku w obronie Elizy lub też, jak to zawsze przypuszczałem, miał w głębi duszy głęboką niechęć do swego dziadka, tak sławnego i stale, nawet mimowolnie, górującego nad nim.

- Zdaje mi się - rzekł z udaną swobodą - że panna Hallencourt nie musi wstydzić się swego zdania. Taki sam sąd słyszałem z ust ludzi nader poważnych, tegoż zdania jest, między innymi, admirał Marre. Ja osobiście uważam sztukę Jean de Entommeures za jedno z czołowych dzieł naszej epoki. A mam wrażenie, że nie jestem kretynem!

- W takim razie - rzekł ze złością Premery - czemu powtarzasz to, co mówią tamci? Hektor de Jaulgonne zarechotał tym swoim śmiechem, który Joachima doprowadził do wściekłości.

- Przypuszczałem, że mam prawo wygłaszać własny sąd.

- Nie zaprzeczam ci tego prawa, uważam jednak, iż zawsze bywa najkorzystniej, gdy się wybiera sąd najrozumniejszy.

- Dziękuję za łaskawość, na którą zresztą, wiem dobrze, mogę zawsze liczyć... Joachim Premery, ten wielki ironista, nie znosił ironii - pod własnym adresem. Zareplikował gwałtownie:

- Gdybym dyskutował z tobą nad planem manewrów morskich, a nie jest to dla mnie temat zupełnie nieznan, słusznie mógłbyś uważać mój sąd za niedorzeczny, gdyby różnił się od twojego. Czy pretendujesz do nauczania mnie czegoś w moim zawodzie?

- Każdy, zdaje mi się, ma prawo dyskutować. Literatura nie jest aż tak dalece wiedzą tajemną - śmiał się nadal Hektor.

- Głupcom wszystko wydaje się proste - rzekł z pasją Premery.

Poblady ze wzruszenia Hektor Jaulgonne powstał z fotela i, nie patrząc na nikogo, wyszedł z salonu. Co do mnie, to bym nie zaręczył, czy złość Joachima nie była udana, czy nie wykorzystał sposobności, by dotkliwie upokorzyć wnuka w obecności Elizy.

- Drogi ojczy, pozwól sobie powiedzieć, jak dalece niewłaściwą była ta sprzeczka - zaczęła natychmiast piskliwie Brygida. - Zauważę również...

- Och, dość, dość! - zawołał Premery. - Czyż nigdy nie będę miał spokoju? Czy wiecznie będą mnie zanudzać? Czyż nie mam prawa we własnym domu mówić, co myślę, czynić co chcę, słowem: mieć swobodę? Albo może zamierzacie roztoczyć nade mną kuratelę, jak nad starcem czy dzieciakiem? Taki smarkacz, taki matolek będzie pouczał? Mnie, mnie!

Po raz pierwszy widziałem Joachima tak wzburzonego, wyrażającego swe uczucia tak brutalnie ~ przy czym w pasji

jego występował na jaw rys próżności zgoła małostkowej. Zachowanie się Hektora musiało go boleśnie dotknąć, skóro wydobyło i odsłoniło te najskrytsze pokłady jego pierwotnej natury.

- Wydaje mi się, że to ty raczej nie pozwalasz nikomu na sąd niezależny. Pani de Jaulgonne wyglądała jak kotka broniąca swych kociąt.

Premery popatrzył na nią przez chwilę, jakby się wahał: czy przyjąć wyzwanie, czy też zamilknąć. Spojrzał na nas z ukosa, i wybrał to drugie.

- Państwo wybaczą... I wyszedł.

Drżąc z oburzenia, pani de Jaulgonne usiłowała grać rolę pani domu.

- Należy ojcu wybaczyć - rzekła. - Jest przepracowany. Doprawdy, nie odpowiada za to, co mówi, ani też za to, co czyni... Proszę tedy, przez wzgląd na to, zechcieć zapomnieć o tym przykrym incydencie...

Lecz Jean Pierrotey zareplikował brutalnie:

- Nie nasza to rzecz, proszę pani, wglądać w wasze kłótnie rodzinne. Bądź co bądź, lepiej nie wmawiać nam, iż Premery jest na pół skończony.

Nastąpiła chwila ciszy. Pani de Jaulgonne, zafrasowana, nachyliła się ku Elizie, ujmując ją za rękę.

- Droga Elizo, jestem pewna, że Hektor będzie ogromnie zmartwiony, iż rozstał się z tobą bez pożegnania. Musiał go mój ojciec całkiem wyprowadzić z równowagi, skoro postąpił w ten sposób, on zawsze taki correct, tak dobrze wychowany! Proszę zająć do nas jutro na herbatkę.

Panna Hallencourt powoli oswobodziła swe dłonie z gorącego uścisku Brygidy i odpowiedziała tonem łagodnym a stanowczym:

- Bardzo mi przykro odmówić, lecz pani wie dobrze, że pan Premery liczy na moją obecność codziennie o piątej. Za nic w świecie nie chciałabym go zasmucić.

Rozeszliśmy się, nie ujrawszy Joachima, który zabarykadował się w swej pracowni, gdzie zapewne obmyślał plan energicznej kampanii przeciw Jaulgonne'om. Miss Trent, nauczycielka Elizy, wyglądająca jak zwiewny obłok złotej mgły, przybyła po swą pupilkę. Jan Pierrotey i Milne udali się na dworzec powozem.

Poszedłem kawałek drogi w towarzystwie pani de Jaulgonne. U zbiegu Avenue de Paris i ulicy Champ - Lagarde przerwała swe długie milczenie.

- Wielki czas, mój drogi Volpelier, byś rozmówił się z mym ojcem w sprawie, którą ci powierzyłam.

Zdanie to oraz ton, jakim Brygida podkreśliła jego treść, tak mnie zirytowały, iż odparłem z miejsca:

- Mogłaś była odgadnąć, moja droga Brygido, na podstawie dzisiejszej sceny, że ojciec twój jest istotnie au courant wszystkiego!

Po czym pożegnałem panią de Jaulgonne, pozostawiając ją na środku chodnika całkiem zbitą z tropu.

Niejednokrotnie zauważyłem nieżyczliwość Hektora de Jaulgonne dla Aleksandra Girvala. Zaznaczał wyraźnie, iż w Girvalu widzi jedynie jakiegoś gryzipiórka bez stosunków i przyszłości, a przywiązanie Joachima do niego uważał za starczy kaprys. Brygida wraz z synem gorliwiej niż kiedykolwiek starali się wpajać w nas przekonanie, że Joachim Premery niedołączył intelektualnie. Gdy zbyt jaskrawa perfidia tych insynuacji oburzała kogoś z nas - nie omieszkali nigdy wtrącić z melancholijnym kiwaniem głową, iż oni jedynie mogli porównać dawną Świetność i obecne wyczerpanie wielkiego pisarza. Z drugiej strony można zresztą było mniemać, że spostrzeżenia Brygidy pośrednio

wynikały z tak gorącego jej zachwytu nad ojcem, iż nie śmiano dawać wyraz zgorszeniu.

Na to jednak, by z owego przywiązania Premery'ego do Girvala ukuć dowód aż tak fatalnego upadku ducha, konieczne było przedstawienie Girvala jako całkiem pozbawionego talentu.

- Czytałem kilka urywków jego pióra w miesięcznikach otrzymywanych przez dziadka; jakieś fikcyjne rozmowy między osobami, które się nigdy nie spotkały. Galileusz z księciem le Ligne, Edison z Chrystusem... To zupełne bzdury!

W ten sposób wyrażał się Hektor!

Znałem i ja te dialogi cieniów, w których autor bynajmniej nie wyprowadzał owych groteskowych kontrastów cytowanych przez Hektora, lecz przeciwstawiał postaci Orfeusza i Eurydyki, Nelsona i lady Hamilton. W tych pierwocinach wyczuwałem już owe cechy skoncentrowanej w sobie, niespokojnej i pełnej głębi osobowości Girvala, który miał je w przyszłości rozwinąć i spotęgować, tylko w innej dziedzinie, nie w literaturze.

- I pan również „bierze się” na Girvala? - zagadnął młody oficer, gdy protestowałem przeciw jego nieżyczliwemu i powierzchownemu sądowi. - To dalibóg zadziwiające, do jakiego stopnia potraficie być zaślepieni, dziadek razem z panem! Toż na przykład na pokładzie „Spullera”, pamiętam, było dwóch moich kolegów maturzystów, którzy nie sprawiali tyle zamieszania co ten wasz Girval, choć każdy z nich miał nieskończenie więcej talentu od niego. Tylko opowiadali rzeczy prawdopodobne, zajmujące historie przytrafiające się każdemu z nas i nie błędzili w obłokach ani w katakumbach jak wszyscy ci, którym Joachim Premery udziela swego błogosławieństwa.

Aleksander Girval, w obliczu tej nieżyczliwości ze strony Jaulgonne'a, panował nad sobą, ukrywając własne uczucia.

Zawsze uprzejmy, zachowywał odpowiedni dystans od tamtego. Powściągliwość ta jeszcze bardziej wściekała Hektora. W końcu protegowanego swego dziadka począł nazywać wręcz intrygantem, aż pewnego razu Eliza wypaliła bez ogródek, że jego własna kariera była tego rodzaju, iż nie ma prawa wyrażać się o kimkolwiek w ten sposób.

Tymczasem jednak stała obecność Girvala, przyjaźń, jaką darzył go Joachim Premery, niekłamana sympatia ze strony Elizy, moja wreszcie ku niemu życzliwość - wszystko to doprowadziło do zenitu animozję Hektora. Niejednokrotnie usiłował zranić młodego literata jadowitymi uwagami, sarkastycznymi aluzjami. Widziałem wówczas na twarzy jego przeciwnika wyraz tak wielkiego wysiłku stłumienia swej pasji, iż zacząłem obawiać się, by kiedyś nie uległ jej naporowi.

Fakt ten omal nie nastąpił pewnego razu w upalny, parny wieczór, którego ciężka atmosfera doprawdy mogła podziałać deprymująco na najcierpliwszych. Hektor de Jaulgonne i Aleksander Girval, zetknąwszy się przypadkowo, rozmawiali w wielkim, białym salonie przylegającym do jadalni. Twarze mieli podniecone i złe. Dotarł do mnie nieco podniesiony głos Hektora. Nie słyszałem słów, lecz wyczuwałem wyraźnie ich sarkastyczne zabarwienie. W pewnym momencie Girval z pasją wcisnął swą prawicę w kieszeń marynarki, jak gdyby bronił się przed pokusą wymieszenia siarczystego policzka pełnemu nienawiści i szyderstwa rozmówcy... Doznałem wrażenia, że ta rozmowa źle się skończy i szybko wtargnąłem do salonu. Obaj umilkli na mój widok. Despotycznie ująwszy Jaulgonne'a za ramię, pociągnąłem go do ogrodu. Hektor niedawno prosił mnie, bym polecił go jednemu z mych przyjaciół w Indochinach. Otrzymałem właśnie w tej sprawie odpowiedź, którą skwapliwie zakomunikowałem Hektorowi. Podziękował mi ze zwykłym chłodem.

Gdyśmy wrócili do willi, Aleksandra już nie było.

Lecz nazajutrz o jedenastej przed południem wpadł do mego mieszkania, okrutnie wzburzony.

- Przychodzę - zaczął od progu - podziękować za pańską wczorajszą interwencję. Mogło się to fatalnie zakończyć! Byłbym już spoliczkował Jaulgonne'a, gdyby nie myśl o panu Premerym. Ale zdecydowałem się posiać mu sekundantów; trzeba raz temu wszystkiemu kres położyć.

- Cóż znowu? - rzekłem. - Niechże pan nie będzie dzieckiem! Premery byłby zrozpaczony na wiadomość o tym pojedynku.

- Do licha, wiem o tym doskonale i dlatego jedynie staram się zachować spokój. Ale ten wysiłek dużo mnie kosztuje. Nie mogę już znieść tych jego min, jego wyniosłości i wiecznych sarkazmów pod moim adresem.

- Ostatecznie, cóż Hektor mówił wczoraj?

- Ach, już nawet nie wiem! Nic nadzwyczajnego, zapewne... Lecz to, że nie mogę ust otworzyć, by nie zostać natychmiast obrzuconym jego ironicznym spojrzeniem, by nie usłyszeć drwiącego komentarza, doprowadza mnie do pasji! Zaczęliśmy rozmawiać o upadku gabinetu. Temat to chyba całkiem neutralny, ale Jaulgonne potrafił tak mnie rozdrażnić, że miałem chęć skoczyć mu do gardła. Tylko że pomyślałem o panu Premerym... A przy tym, czy pan uwierzy, mimo że go nie cierpię, czuję w stosunku do niego pewien respekt: nie mogę przestać uważać go za wnuka Joachima Premery'ego, a to otacza go jakąś osobliwą aureolą.

Skorzystałem z okazji, by wpłynąć na Girvala i utrwalić w nim decyzję zachowania nadal jak największego spokoju. Przedstawiłem mu też Jaulgonne'a w pochlebnym świetle, wynajdując w nim mnóstwo cech dodatnich, w których prawdziwość sam nie wierzyłem. Położyłem wreszcie nacisk

na to, że w razie zwady między nimi sytuacja Joachima stałaby się fatalna.

- Wiem to wszystko - rzekł Girval.

W tej chwili oczy mu się zamgliły, a kąćki ust osunęły się z wyrazem goryczy.

- A poza tym - dodał - jeżeli panna Hallencourt kocha tego Hektora, muszę jej oszczędzić zbędnych przykrości!

- Przypuszcza pan to z powodu owego spaceru w Trianon?

- I tak i nie. W jego obecności wygląda na zmieszaną... Także przez wzgląd na nią wczoraj nie zareagowałem na impertynencję tego głupca. Och! Ani Premery, ani panna Hallencourt nie dowiedzą się nigdy, jak wielką uczyniłem dla nich ofiarę, jestem bowiem drażliwy i gwałtowny.

Nagła fala wzburzonej krwi zabarwiła na nowo blade policzki Girvala. Gdy tak trwał przez chwilę w milczeniu, zatopiony w swej krzywdzie, pomyślałem o tym, co mi powiedział. Co za cios dla Joachima, jeśli okaże się prawdą, że Eliza kocha Hektora! Czyż istotnie z takiego źródła wypływał entuzjazm, którym otaczała sędziwego mistrza?

Musiałem również stwierdzić, że ten stojący przede mną młodzieniec wykazał wielką siłę ducha; niebawem przyszło mi stwierdzić, że ta siła znacznie była większa niż przypuszczałem.

Postanowiłem wystąpić do Jaulgonne'a w celu wyjednania jeśli już nie jego życzliwości - to przynajmniej neutralności. Nie wypadało mi jednak trudzić się w tej sprawie, gdyż następne wydarzenia potoczyły się tak szybko i w taki sposób, że oszczędziły mi owej misji.

- Czy pan przypuszcza, że istnieje możliwość małżeństwa między Elizą i Hektorem? - zapytałem.

- To, co najgorsze, niekoniecznie bywa najpewniejsze - odparł wymijająco. - Gdy zastanawiam się nad Elizą, czasem

mam wrażenie, że to jedna z postaci stworzonych przez Premery'ego. Tak dalece przypomina jego bohaterki, iż rzekłbyś, że jest jedną z nich, co wyskoczyła z jego głowy, zanim zdążył wywołać ją na kartkę rękopisu!

Te pełne wdzięku fantazje rozwiały nieco rozżalenie Girvala, który niebawem pożegnał się i odszedł. Zostawszy sam, przemyślałem całą naszą rozmowę. Jasno zdawałem sobie sprawę z uczuć młodego literata, co zwiększyło jeszcze moje niezadowolenie z powodu wmieszania się w sprawę Jaulgonne'ów.

Rozdział 6

O szczegółach sceny, jaka rozegrała się między Joachimem Premerym a Elizą Hallencourt, dowiedziałem się dopiero znacznie później i niełatwo mi było scenę tę zrekonstruować. Premery nie mógł dłużej trzymać przed nią w tajemnicy wiadomości o wszczętych przez panią de Jaulgonne krokach oraz o rzekomej czy szczerej miłości Hektora. Zaprosił tedy Elizę do siebie i przedstawił jej sytuację. Dyplomatyczne omówienie, powolne ustępy nie leżą w naturze ludzi typu Joachima Premery'ego. Premery był zwolennikiem atakowania z frontu, gwałtownie, miał zwyczaj oszałamiać przeciwnika i nieraz wytrącać przy tym broń z ręki, ciskając prosto w twarz niespodziewane wyzwanie. Nie wiedział jeszcze, czy Eliza kocha Hektora, i pragnął pozbyć się ciężaru tej niewiedzy. Jeżeli nawet wzruszył się wtedy, w krytycznym momencie swego życia, z pewnością nie okazał tego; partnerka jego zresztą sama była zbyt zmieszana, by jasno ogarniać sytuację.

Dotychczas Premery kierował się naturalną dobrocią. Nie przypuszczam, by się na niej kiedykolwiek zawiódł, władał bowiem subtelnym kunsztem godzenia tej dobroci ze swoją niepospolitą skrytością. Umysł taki jak jego tym różni się od innych, iż nie ulega złudzeniom pochodzącym z zewnątrz, chociażby sam przez się od tych złudzeń nie był wolny. Mogły roztaczać przed nim swe wstęgi i muśliny; on zawsze dokładnie znał to, co miały przesłaniać.

Zbyt dobrze był zresztą świadom istoty tych zjawisk, by nad tym rozmyślać. Siła jego kwitła właśnie w owej jakby rezygnacji, którą nakazywał swym uczuciom. Przedziwnym zjawiskiem było to, że Premery zdołał przy tym zachować przez całe życie taką świeżość, taką żywiołowość odruchów uczuciowych. W tym tkwiła jego tajemnica, niewyjaśniona w jego dziełach.

Joachim powziął ambitny zamiar zapanowania wreszcie nad otaczającym go mrowiem drobnych istnień i przestać uważać je tylko za materiał do doświadczeń stwierdzających ogólne prawa życiowe. Zanim poznał Elizę, być może, spodziewał się przetrwać z dala od burz nawiedzających doliny i przyglądać się z daleka zygzakom błyskawic. W jakim momencie spostrzegł, iż jest wciąż jeszcze człowiekiem i to człowiekiem ulegającym najfatalniejszej słabostkom? Nie wiem. Lecz, według mego przekonania, zabiegi Hektora nie odkryły mu nic nowego.

Stanąwszy przed obliczem Joachima, Eliza natychmiast zmieszala się niezwykle. Zmieszanie to było ogromnie widoczne i przeraziło go.

- Domyślam się tego. Hektor szukał mnie stale i prześladował swą obecnością, prawiąc mi mnóstwo czułych zdań, których... nie śmiałam rozumieć - wybełkotała dziewczyna.

Z brzmienia jej głosu nie sposób było rozeznaczyć, czy myśl o tym była jej wstrętą, czy też radosną. Wystraszona, onieśmielona panienska stała przed Joachimem jak dziecko, któremu dano do rozwiązania zbyt trudne zadanie.

- I cóż? - zapytał Premery.

- Nic - odpowiedziała, nie wiedząc, iż sama sobie przeczy. - Nie jestem przygotowana do tej myśli,..

- Bądź co bądź musi cię to irytować lub cieszyć...

- To... to nie irytuje. Być może, istotnie, tak będzie lepiej. To rozwiązałyby sprawę.

- Jaką sprawę?

- Mego życia - odrzekła z twarzą oblaną falą purpury.

Premery wzruszył ramionami i począł przemierzać pracownię wielkimi krokami; wreszcie usiadł.

- To niedorzeczność... Powiedz wreszcie: kochasz go?

Wtedy (sam Premery, opowiadając mi tę rozmowę, podkreślił to z naciskiem) Eliza zwróciła nań spojrzenie pełne zdumienia, a twarz jej wyrażała głębokie oburzenie.

- Nie, nie kocham go. - I dodała przez zęby: - Pan dobrze o tym wie...

- Skądże, u licha, mam wiedzieć? Nie jestem czarnoksiężnikiem, Elizo. Hektor jest młody, nieszpetyny, dość nawet inteligentny; lotności i uroku tyle w nim, co w strózu więziennym, to prawda, ale taki szczegół jeszcze nigdy kobiecie nie przeszkodził w zakochaniu się. Czemuż miałybyś go nie kochać?

Znów rozpaczliwy wyraz na twarzy Elizy.

- Pokocham go - rzekła - jeśli pan tego sobie życzy.

Gdy to usłyszał, Premery skoczył na swym fotelu tak gwałtownie, iż cały stos książek spoczywających na jego biurku rozsypał się na podłogę.

- A, do licha! Skądże by mi podobne szaleństwo przyszło do głowy? Ja miałbym wymagać od ciebie, byś kochała Hektora?

- Myślałam... sądziłam, że pan pragnął, bym została jego żoną. Dlatego nie śmiałam go odtrącać. Mogło to być całkiem naturalne, że pan, mając dla mnie wiele przyjaźni, życzył sobie tego. Z tego powodu byłam gotowa powiedzieć: „tak...” A zresztą byłabym się zgodziła... by nie oddalać się od pana...

Spojrzała na Joachima. Wyczytał wtedy w jej oczach coś, czego nigdy nie umiał być ani nie śmiał wyczytać.

- Elizo... - szepnął. Przesunął dłonią po czole i znieruchomiał niby kopacz złota, co w chwili, gdy jest już bliski śmierci z nędzy i wycieńczenia, uderzywszy oskardem na oślep w skałę, dostrzegł w niej nagle żyłę cennego kruszcu. Spojrzał prosto przed siebie, w przestrzeń pełną obrazów tak bajecznie kolorowych, że zachwiał się pod ich przemożnym naporem.

- Lepiej będzie, gdy się już rozstaniemy, Elizo. Zresztą, czuję się niezupełnie dobrze... Zatelefonuję jutro rano - zdołał wreszcie wykrztusić.

Panna Hallencourt oddaliła się zmieszana, Premery zaś wyszedł spieszenie z domu i całe dwie godziny błądził w okolicach lasu w Jouy.

Zobaczyliśmy się nazajutrz. Joachim tego dnia nie zwierzył mi ani słówkiem treści swej rozmowy z Elizą, lecz zadziwił mnie swym wyglądem pełnym energii i jakiejś radosnej odwagi. Dosłownie promieniał. Zaczął mówić o rozmaitych rzeczach tak barwnie i ochoczo, z takim bogactwem pomysłów, że nie mogłem ukryć zdumienia.

- Tak - stwierdził. - Mam wrażenie, że wracają moje młode lata. Wszystko mnie wzrusza, upaja. Przeżywałem już podobne chwile, lecz nigdy tak intensywnie... Chcesz? Przejdziemy się i pogadamy. Pójdźmy w stronę pałacu.

Joachim uzbroił się w swą trzciniową laskę i wyruszyliśmy w drogę.

- A czemuż bym nie miał przeżyć powtórnej młodości, Volpelier? Gdyby nie ta przekłeta wątroba, przypominająca mi od czasu do czasu o swej egzystencji, czułbym się równie krzepki jak w trzydziestym roku życia... Ale furda! Jeszcze jeden sezon w Vichy, a nie będzie o tym mowy! Nigdy tak gorąco nie pragnąłem tworzyć, tak jest: tworzyć. Jakbym zabierał się do pierwszej książki... Słuchaj, być może spotka mnie nowe szczęście! Mam ochotę podróżować, chciałbym wyjechać daleko, lecz tym razem w towarzystwie młodej istoty, i odbyć ponownie świętą pielgrzymkę: Włochy, Sycylia, Grecja... Dziś lepiej bym wszystko rozumiał. Mam wrażenie, że noszę w sobie jakąś myśl, której sam nie jestem świadom, a która wszystko rozjaśni. Doznaję niezwykłych pokus. O, nie wychyliłem jeszcze złotej czary do dna! A życie

moje istotnie było tak cudowne, że może zakwitnie mi jeszcze raz młodością. Ostatni już raz - dodał, smutniejąc natychmiast.

Minęliśmy marmurowy dziedzińczyk i stanęliśmy na tarasie w chwili, gdy zmierzch już zaczynał zapadać. Słońce schodziło, niby po schodach z obłoku na obłok, pozostawiając złociste wyłomy, przez które przesączała się poświata; opuszczało się powoli w kierunku Kanału, a promienie, które rozsiewało na jego powierzchni, muskały wodę, nie rozświetlając jej.

Widok ten przypadkową swą alegorią głęboko zasmucił Joachima, który, obróciwszy się ku mnie, zagadnął nerwowo:

- Powiedz mi szczerze, Volpelier, czy w twoich oczach jestem tak młody, jak się to mnie wydaje?

- Jesteś pan zdumiewający, jak na swoje lata.

- Jak na moje lata! Tak, naturalnie, masz słuszność. Ale powiedz, czy sądzisz, że jestem dość młody, aby...

Urwał i spojrzał na mnie z ukosa. Zrozumiałem w tej chwili wszystko i osłupiałem. Tak, od trzech miesięcy patrzyłem na to, nie pojmując, a raczej pojąłem, lecz nie potrafiłem znaleźć jednego słowa rozwiązującego całą zagadkę. Moja zaś gorąca sympatia dla dwojga aktorów tej niemej tragedii mąciła bezstronność i jasność moich sądów.

- Nie mów mi, że to zbyt wielkie dla mnie szczęście. Nie ma szczęścia zbyt wielkiego dla niektórych ludzi! Rozpocząć życie od nowa, ach! Volpelier, czyż może spotkać człowieka wspanialszy los? Otóż zaczynam je na nowo, powiedzmy, dzisiaj. Chcę zapomnieć o przeszłości, długiej przeszłości... Nie mam już przeszłości. Długo wędrowałem, szukając drogi wśród mrocznych jarów; teraz oto wychodzę na światło, otwieram oczy, przede mną świt...

- A jednak - zakończył smętnie - nie śmiem temu wierzyć! To wszystko byłoby zbyt piękne... Jestem po prostu starym szaleńcem, któremu zarozumiałość przewróciła w

głowie. To niemożliwe. To wszystko mi się śni... Śni mi się? Czy to sen - ta radość życia, która we mnie wzbiera, to uczucie, jakiego doznaję na samą myśl o miłości, to rozkoszne oszołomienie, grające w mych żyłach silniej, aniżeli narkoza po zażyciu opium, ta myśl, iż gdybym wszystek zatracił się w uczuciu, odrodziłbym się jak Feniks, bogaty szczęściem, którego wieki całe nie zdołałyby wyczerpać... Cóż jest źródłem tego wszystkiego, jeśli nie fakt, że się jest...

Nie dokończył jednak i powstał w milczeniu.

- Wracajmy - rzekł.

Ruszyliśmy ku domowi. Joachim odzywał się zaledwie półsłówkami i mówił o rzeczach obojętnych.

- Dziękuję ci, przyjacielu - rzekł do mnie na progu swej willi. - Nigdy dotąd tak silnie jak dzisiejszego wieczora, nie odczuwałem potrzeby wywnętrzenia się. Nie byłbym uczynił tego tak szczerze przed nikim prócz ciebie; doprawdy zdawało mi się, że mam trzydzieści lat i mówię bez skrepowania w absolutnym zaufaniu, jak to czyniłem niegdyś w obecności twego ojca, którego tak żywo mi przypominasz i który był świadkiem wszystkich porywów mej młodości. Jak ty dzisiaj, jak ty...

Nic mógł mówić dalej. Przy ostatnich słowach głos mu się załamał... I jedyny raz w życiu ujrzałem, jak oczy Joachima Premery'ego zaszkliły się od łez...

Nagle mój przyjaciel odwrócił się i ruszył w głąb ogrodu. Pośród wyniosłych drzew usłyszałem głos puchacza - łagodną, urywaną, tłumioną skargę.

- Proszę! - zawołał Premery.

Siedział przy biurku, Girval zaś z zaognioną twarzą, stał tuż obok. Obszerne biurko było zavalone rysunkami, notatkami, luźnymi kartkami, które maciły zwykły ład.

Za oknem lato stało niby potężny bawół, który zagładając do pokoju dmucha raz po raz ciężkim oddechem.

- Miałem właśnie pisać do ciebie - zaczął Premery. - Pragnąłem zasięgnąć twej opinii o osobie, którą musisz dobrze znać: o panu Grosgeat z Sajgonu.

Odpowiedziałem, iż znam go istotnie.

- Zatem, cóż to za człowiek?

- W jakim celu potrzebna jest ta informacja?

- Masz słusność: nie powinno być między nami tajemnic. Otóż ten pan Grosgeat zakłada obecnie pismo codzienne przeznaczone dla całego obszaru Indochin. Jeden z naszych przyjaciół został naczelnym redaktorem i chciałby powołać Girvala na stanowisko sekretarza redakcji... A teraz mów, proszę...

Powiedziałem to, co mi było wiadome, że mianowicie ów Grosgeat był typem podejrzanego machera, że jeśli brał się do wydawania gazety, to niewątpliwie miał na celu popieranie jakichś nieczystych przedsięwzięć, że mnie osobiście, na pierwszy rzut oka, sprawa ta, wydaje się dość niebezpieczna.

- Sam widzisz - rzekł Premery, zwracając się do Girvala. - Przeczuwałem doskonale, co powie Volpelier. No cóż, jeszcze się upierasz? Czy myślisz rozpoczynać swą karierę na ławie oskarżonych? Odpowiedz wreszcie!

Aleksander Girval nie kwapił się z odpowiedzią. Obserwował nas obu na przemian, a wyraz jego twarzy, zazwyczaj tak stanowczy, zdradzał wahanie i niepewność.

- Mistrzu - rzekł w końcu - wiesz dobrze, że muszę wyjechać.

- Przeciwnie, zaprzeczam kategorycznie - zawołał Premery, zrywając się z fotela. - Zostać mizernym dziennikarzyną, gdy się ma twoje zdolności, taką przyszłość przed sobą! Tracisz chyba rozum!

- Nabędę lam doświadczenia. Poznam życie. Ileż zawdzięczał Balzac temu, że był drukarzem i bankrutem!

- Nie przesadzajmy. Balzac więcej był dłużny swemu talentowi niż swym wierzycielom. A zresztą nie chodzi o Balzaca. Zmarnujesz się tylko w niewdzięcznej robocie, nie mając chwili czasu na własną pracę, zrujnujesz zdrowie, wrócisz chory, a najpiękniejsze twe lata pójdą na marne. Czyż nie mam racji, Volpelier?

- Najzupełniejszą.

- Mistrzu, znasz moje racje. Jestem ciężarem matce, starszemu bratu; nie mogę dłużej żyć w tych warunkach wyłącznie na konto mej przyszłości, wciąż przecież problematycznej. Moja rodzina jest zbyt uboga, by ponosiła dla mnie takie ofiary.

- To wszystko? Cóż, wynajdę ci tutaj miejsce w redakcji, w jakim tylko zechcesz periodyku. Zostaniesz krytykiem literackim, felietonistą teatralnym. Potrafisz odróżnić do od sol? Będziesz smarować recenzje muzyczne, gdzie ci się podoba.

- Pragnę zwiedzić obce kraje.

- Nic nie zobaczysz. Będziesz tkwił w dusznym pokoju, z wirującym panka nad głową. Potem w tłumie, w ścisku, przejdiesz się o zachodzie słońca po Promenade de l'Inspection i koniec. Daj mi ćwiartkę papieru, narysuję ci ten pejzaż, a Volpelier stwierdzi, czy tak jest w rzeczywistości.

- Zamiar mój już powzięty.

- Nie, Aleksandrze, nie dam ci się zmarnować. Zresztą nie powiedziałem jeszcze wszystkiego: stary jestem, potrzebuję cię. Potrzebny mi jesteś na ostatek mych dni i ja tobie również jestem potrzebny. Wiesz dobrze, jak wiele jeszcze muszę ci dać, powierzyć. Nie jesteś jeszcze pasowany na rycerza; zaczynasz dopiero toczyć pierwsze harce. Odwołuję się do ciebie jako do istotnego mego spadkobiercy; jesteś moim synem duchowym. Gdybym był mógł wybierać swe dziecko, byłbym wybrał ciebie. Nikt nie jest tak ściśle ze mną

związany. Mamy jednakowo ukształtowane umysły, jednakie ujęcie zagadnień wszechświata. To cud prawdziwy, że spotkałem na swej drodze kogoś takiego jak ty. Byłbym dzisiaj samotny, zupełnie sam w otoczeniu Brygidy, Hektora, Adriana. A oto mam ciebie. Mam także Volpeliera, lecz niewierny to druh. On odejdzie. Ty zaś, Aleksandrze, zostaniesz; proszę cię jeszcze; nie opuszczaj mnie.

Girval wciąż się wahał. Miał widać poważną po temu przyczynę, skoro nie ulegał podobnym słowom. Przyczyny tej domyślałem się i radbym wiedzieć, czy znakomity pisarz wiedział o niej również. Lecz milczałem, nie chcąc ewentualnie ośmieszyć się tą swoją romantycznością i tym wyszukiwaniem na każdym kroku nieprawdopodobnych sytuacji.

- Drogi mój mistrzu - rzekł wreszcie młodzieniec. - Już tylko to, co usłyszałem, mogło mnie skłonić do zostania: obdarzyłeś mnie najwyższym zaszczytem. Nie mogę więc wyjechać.

- Nie zawiodłem się na tobie - odrzekł Premery, wyciągając ku niemu dłoń nad biurkiem, przy którym zasiadł.
- Nie zapomnę ci tego. Teraz jednak nie wolno nam dłużej trwonić czasu.

Zapanowało długie milczenie. Premery wpatrywał się w Girvala. Cóż widział, co odczytywał w tym obliczu wciąż poważnym i zatroskanym? Czy usiłował przewidzieć co będzie z nim samym i z tamtym? Czy szukał swej drogi, jak podróżnik, wędrujący o wieczornej porze przez mroczny las, czy też rzucał się na oślep, przez poplątane krzewy i zarośla? W owym momencie, wyznając, zwątpiłem w niego. Ten potężny duch nie wydawał mi się już latarnią, rozświetlającą okoliczne mroki. Mimo woli myśl moja obniżała go, ściągała na nasze płaszczyzny. Girval zdawał się być o sto mil od Wersalu.

Premery łagodnie zwrócił się do nas:

- Chłopcy, zostawcie mnie. Mam robotę... Wyszliśmy.

- Dokąd pan idzie? - zapytał Girval.

- Wracam na ulicę Parafialną. Nagle młodzieniec wybuchnął:

- Czy pan wie, że panna Hallencourt wychodzi za Hektora de Jaulgonne?

- To nieprawda!

- Nie, to prawda. Wiem o tym od zaufanej przyjaciółki pani de Jaulgonne, która jej się zwierzyła. Dlaczego Premery ukrywa to przede mną? Uważa mnie za syna, jak twierdzi, a zataja wszystko',

- Przede wszystkim Premery mógłby przypuszczać, że to pana nie interesuje. A poza tym przysięgam panu: to nieprawda.

- Cóż pan o tym może wiedzieć?

- Nie mogę przedstawić panu dowodów. Proszę jednak wierzyć mi na słowo.

To dlatego chciał jechać na Daleki Wschód! Czy Joachim się tego domyślał? Żal mi było Girvala, któremu niebawem rzeczywistość miała zadać cios straszniejszy, aniżeli obecne domysły.

Zrozumiałem też taktykę pani de Jaulgonne. Rozgłaszając te wieści, chciała postawić ojca w obliczu faktu dokonanego, wywołać publiczne komentarze, poruszyć towarzystwo. Wszystko teraz było jasne; wyprawiając mnie z ową misją, Brygida chciała obezwładnić ojca obecnością świadka, osoby trzeciej, i zmusić go do wyrażenia swej zgody, gdyż w przeciwnym razie Joachim zdradzał się sam... Czyż więc Brygida wyczuła wcześniej niż ja to, co zrozumiałem dopiero teraz? Miłość macierzyńska w połączeniu z interesem obdarzyła ją w tych okolicznościach straszliwą

przenikliwością. Szczęściem jednak wynik mego posłannictwa zawiódł jej nadzieje.

Aleksander Girval podążył w stronę dworca. Wrócił do domu zgnębiony i pełen melancholii. Myślałem wciąż o trojgu mych przyjaciół, o tych ludziach, tak drogich mi i bliskich, i o tragedii, do której epilogu zmierzali wszyscy troje - każdy po swój dział cierpienia.

W ciągu następnych dwóch dni upał był nie do zniesienia; zdawało nam się, iż zamiast powietrza wdychaliśmy wręcz iskry, które czerwiec rozsiewał wokoło. Wśród tych ciężko ważących się parnych godzin, wypatrując ukazania się na horyzoncie pierwszej błyskawicy, aby wraziła swój złoty klucz w naładowane deszczem chmury, ulegałem powszechnemu bezwładowi i prostracji całej otaczającej przyrody. Aż pewnej nocy pękły pieczęcie niebios i gdy ziemia ugasiła swe pragnienie, ujrzeliśmy rześki dzień, powstający z mroku, niby nagi, młody bóg, igrający aż do wieczora pośród promiennych tęcz i rześistej rosy.

W radosnym nastroju przeszedłem się po parku, jakby odnowionym i obmytym z kurzu.

Pod wieczór, gdy zawracałem w stronę tarasu oranżerii, ujrzałem Joachima Premery'ego, który opierał się o kamienną balustradę. Podeszedłem ku niemu i stanąłem opodal, nie śmiąc przerywać rozmyślań, w których był zatopiony.

Od grupy drzew pomarańczowych szedł zapach dziwnie ciężki i gęsty. Każde drzewko w osobnej skrzyni obsypane było mnóstwem kwiatów, wyglądających jak woskowe gwiazdki.

Premery odwrócił się i spostrzegł mnie.

- Jaki cudny dzień! Gdzież dziś byłeś, Volpelier? Nie mogłem pracować i uciekłem z domu jak sztubak na wakacjach, włóczyłem się po drogach i lasach. Wydawało mi się, że mam zaledwie dwadzieścia lat!

Gdy zaś odpowiedziałem na jego pytanie, zauważył:

- Zazdroszczę ci, Volpelier, zazdroszczę tego, że możesz przeżywać dzień za dniem, nie widząc w tych dniach symbolu twego przeznaczenia.

- A czyż pańskie przeznaczenie nie jest piękne?

- Było przepiękne, przyjacielu! Jedyłą jego wadą jest to, że już w trzech czwartych spełnione.

Słowa te stanowiły tak żywy kontrast z wczorajszą naszą rozmową, że pokusiłem się o wprowadzenie Joachima na nowo w ów nastrój, w jakim go zastałem po wizycie panny Hallencourt.

- Któż może zareczyć, czy szczęście, jakie panu jest jeszcze sądzone, nie zaćmi blasku chwil już przeżytych?

- Chciałbym w to uwierzyć, Volpelier. Chciałbym móc wierzyć, że moje zwierciadło kłamie, że kłamie moja wątroba, że kłamią encyklopedie, głoszące, iż urodziłem się w roku 1846. Chciałbym, by mi było dozwolone zerwać jeszcze jeden kwiat z rajskiego drzewa. Nie wiem, nie wiem, czy mam do tego prawo. Otrzymałem swój dział szczęścia, wychyliłem pełną czarę...

- Miał pan wszystko, czego człowiek pożąda: miłość, bogactwo, sławę. Joachim Premery wznosił rękę ruchem jakby odpychał wroga.

- Gdyby moje szczęście polegało na tym, coś przed chwilą wymienił, Volpelier, nie wart byłbym więcej, niżeli ci, którymi gardzę. Nie, ja za inne dobrodziejstwa dziękuję niebu... Cóż, kilka momentów zadowolenia miłości własnej nie byłyby zdolne tak bardzo przywiązać mnie do tego świata; lecz dane mi było rozwijać się w harmonii z prawami, jakie nim rządzą, mogłem spoglądać na Naturę, jak na siostrę, nie zaś - nieprzyjaciółkę, nie od niej bowiem żądałem swej nieśmiertelności. Nie mam do niej żalu o to, że wiem, iż jeden z moich organów jest już zdemolowany, lecz wdzięczny jej

jestem za to, że mi je wszystkie tak długo zachowała we wzajemnej zgodzie. Nie, szczęście moje polega na tym, że w każdej rzeczy szukałem poznania jej treści oraz owego pogodnego spokoju, jaki z tego poznania wyrasta. Nie oddzielałem nigdy mej mądrości od moich namiętności lecz mieszałem je niby mąkę z wodą na zaczyn chlebowy. To jest istota owej pogody, którą mi wyrzucano jak zbrodnię! Nawet śmierć rzekła mi: „Odwagi! Zawsze bywałam pobita! Nie ma nicości. Próżny jest mój trud, od tysiącleci nie zdołałam zniweczyć jednego atomu tej materii...”

W tych słowach usłyszałem tylko wyznania egoizmu, będącego tematem skarg Brygidy. Znów wydał mi się człowiekiem bez serca.

- Zdaje mi się - wtrąciłem - że miłość w tej orkiestrze zajmowała jeden z poślednich pulpitów. Pewnie pan zapomniał o kobietach, które wywoływały jego przeżycia.

Okna pałacu gasły jedno po drugim, zdało się, że za każdym z nich stał jakiś niewidzialny upiór, zaciągający żelazną firankę.

- Są mi bliższe niż kiedykolwiek - zaprotestował gorąco Joachim. - Wdzięczność moja dla nich zginie chyba wraz ze mną samym! Czyż bowiem miłość nie jest najlepszym środkiem poznania? Ileż tajemnic odsłoniła mi każda z kobiet, które kochałem! Kobieta jest mechanizmem misterniejszym od mężczyzny; w naturze jej przeważa element fizyczny, a jednak dzięki niej właśnie możemy oglądać niewidzialne. Uczucia, jakich doznajemy wielbiąc jej ciało, oczyszczają naszą myśl. Nic, nie zapominam ich. Zimą, w długie wieczory przy kominku, myślę o nich, odzieram je ze wszystkiego, co było przypadkowe, wydobywam na jaw ich rysy istotne, zasadnicze, mieszam je z galerią istot, które stworzyłem wyobraźnią, z mymi prawdziwymi córkami: z hrabiną Randau, Ifigenią, Minną, Ludmiłą, z kilku innymi jeszcze.

Jedne i drugie stają się symbolami owego pożądanego, które ustawicznie każe nam szukać swego uzupełnienia w tej, która od nas oczekuje wszystkiego. Jednej zawdzięczam odkrycie radości, absolutne upojenie dwudziestą wiosną życia; innej wiedzę o ludzkości, tajniki wychowania i dyplomacji; tej pragnienie buntu, rozkosz zrywania łańcuchów i walki z przemocą dyscypliny i kanonów, tamtej cierpienie...

- A teraz? - zapytałem mimowolnie.

- Teraz? - Głos mu lekko zadrżał. - Teraz uczę się podziwiać piękno świata i radować się nim, nie dając już nic z siebie. Usiłuję tak czynić... To nie jest łatwe... Stary wierzchowiec jeszcze się spina, nasze ja czepia się niby bluszcz mający się murów. Ludzie Zachodu z trudem pojmują kontemplację bezinteresowną. Nawet ja, który stoję u progu mogiły!

- Cóż znowu!

- O, wiem dobrze, że posiadam w pełni wigor czterdziestolatka. Lecz to kwestia chronologii. Śmierć jest straszna dla tego, kto odchodzi nie dopisawszy ostatniej stronicy, słodka zaś dla tego, kto ją zostawia wypełnioną. Czekałem jej spokojny...

Ostatnie słowa Joachim wymówił głosem ściszym, po czym nagle, przecząc sam sobie, zawołał z akcentem buntu:

- Teraz wydaje mi się potworną niesprawiedliwością, gwałtem, grabieżą! Wszystko bym rozpoczął na nowo, gdyby nie ona... wszystko!

- Trzeba zacząć na nowo - rzekłem z przejęciem. - Pańskiemu dniowi brak ostatnich promieni.

- Tak sądzisz? Nad tym właśnie rozmyślałem w nocy, gdy tłukę się po swojej pracowni. Tak, istotnie, ujrzałem Ziemię Obiecaną, widniejącą znów przede mną; byłbym płakał ze wzruszenia, z nadmiaru uczuć, z radości. Ja, starzec, zacząłem snuć dziecinne rojenia. Wróciła mi nadzieja, wiara,

zapraǳałem się odrodzić. Zdawało mi się, że radość życia budzi się we mnie z długiego uśpienia, że wstępuję w anielskie sfery... Przeżyłem godziny niezrównanej ekstazy! Pomyśl, pomyśl: stary krzew różany, uschły, konający, ogołocony, na którego półmartwej gałęzce zakwitła jeszcze jedna róża, ostatnia... Dziś nic już nie wiem, męczę się i waham, wyciągam ramiona ku szczęściu, i widzę, dobrze widzę, że te ramiona drżą...

Nie śmiałem się odezwać; zawróciliśmy powoli. Na niebie widniała samotna gwiazda, niby kwiat, pełen wieczystej rosy.

- Cokolwiek będzie - rzekł Premery - choćbym miał się wyrzec wszystkiego, czyż nie pozostanie prawdą, że doznałem jeszcze szczęścia dostępnego tak nielicznym wybrańcom? Tak, Volpelier, piękny był mój dzień, lecz jakże krótkie są dni człowiecze, przyjacielu!

* * *

W umyśle Joachima Premery'ego zapanował szczególny zamęt. Nigdy dotąd nie widziałem mego przyjaciela takim. Nie zbywało mu wprawdzie na trzeźwości sądu ani na męstwie, lecz nie mógł jakoś zdać się na bieg wydarzeń. Zbyt wiele wahań i zastrzeżeń mąciło jego myśli, a niebawem i bieg samego życia. Nieraz zadawałem sobie pytanie, czy, w owych okolicznościach, nie byłoby dla Joachima stokroć lepiej być, na przykład, listonoszem, zamiast genialnym pisarzem, i czy świadomość, zamiast wzmacniać w nas działanie koordynacji, jednolitości, nie staje się, wręcz na odwrót - fermentem rozszczerzenia.

Żal mi było przyjaciela.

Gdy dziś zastanawiam się na chłodno nad tym, jakie przyczyny skłoniły mnie wówczas do wmieszania się w konflikt między Joachimem a Elizą i do interwencji w sensie afirmatywnym - wyznać muszę, iż motywy te nie były zbyt jasne. Naszym odruchom duchowym nie zawsze odpowiadają

konkretnie określone pobudki. Absurd, irracjonalność. - aż do wyjaśnienia się sytuacji z biegiem wydarzeń - pozostają nieraz naszymi najchętniej słuchanymi doradcami. Upierałem się przy życzeniu, by mój przyjaciel poślubił pannę Hallencourt. Sympatia moja ku tej panience była nader żywa; czemuż jednak ten właśnie związek miał mnie ucieszyć bardziej, niż jakikolwiek inny? Mam wrażenie, że nie cierpiałem Hektora de Jaulgonne, lecz wystarczyłoby mi zupełne fiasko jego zamiarów, bez tak pikantnego szczegółu, że zamiar ten udaremniał jego dziadek. Wszystkie te mądre rozważania nie przeszkadzały mi wówczas pragnąć, by całe zagadnienie zostało rozwiązane jak najrychlej - i po mojej myśli. Zadreczałem się wynajdywaniem motywów, które przekonałyby Joachima do mej tezy, choć to jemu bardziej niż mnie zależało na wyszukaniu tych argumentów! Ja, który miałem za trzy miesiące wyjechać znów daleko, na długie lata i między Suezem a Adenem zapomnieć o jej istnieniu, miałem wrażenie, że sam niejako utraciłbym Elizę, gdyby nie wyszła za niego.

Premery oczekiwał mego przybycia o piątej. Eliza miała być z nami na podwieczorku.

Po trzech kwadransach rozmowy stwierdziliśmy, że Eliza się spóźnia. W końcu zasiedliśmy bez niej do stołu, lecz tym razem, choć sytuacja się powtarzała, Premery nie okazał zdenerwowania i niecierpliwości. W każdym razie objawił je dopiero później i w chwili, gdy było to słuszne i zrozumiałe.

O siódmej Elizy wciąż jeszcze nie było widać. Joachim rozpoczął wędrówkę po pracowni, machinalnie tarmosząc wąsy.

- To nie do wiary - rzekł. - Zapewniała, że przyjdzie. Cóż zaszło znowu?

O wpół do ósmej zadzwieczał telefon. Premery, przekonany, że to dzwoni panna Hallencourt, podskoczył do aparatu. Usłyszałem co następuje:

- Nie! Nie przyszła... Istotnie, oczekiwałem. Co? Dotychczas nie wróciła? Gdzież więc jest? Pojmuję wasz niepokój. Co robić? Tak. Oczywiście... Drogi przyjacielu, skoro tylko wróci, zadzwońcie do mnie.

Premery odłożył słuchawkę; na jego twarzy malowała się troska.

- Słyszałeś?

- Tak. Czy jednak niepokój pana Hallencourta nie jest nieco przedwczesny? Dopiero wpół do ósmej.

- Hallencourt jest bardzo punktualny. Do stołu siada codziennie o siódmej, a Eliza nigdy się nie spóźnia. Ale gdzie też mogła spędzić całe popołudnie, skoro miała być tutaj? Stało się coś ważnego.

- Lecz co?

Rozłożył ręce bezradnie.

- W południe uprzedziła ojca, że będzie u mnie na podwieczorku. Jakiś wypadek? Wszyscy ją znają, a Wersal to nie Paryż. Pan Hallencourt zostałby niezwłocznie zawiadomiony. Zresztą nie wyjechała konno.

- Proszę pana, podano.

Wstałem z fotela, zamierzając się pożegnać, lecz Premery zatrzymał dłoń, którą mu podałem, i rzekł głosem trochę niepewnym:

- Nie, Volpelier, zostań, proszę. Zależy mi na tym. Może będziesz mógł mi pomóc. Nie chcę być sam dzisiejszego wieczora. Możesz przecież uczynić dla przyjaciela ofiarę z kilku godzin. Antoni, proszę dodać nakrycie dla pana Volpelier...

Ujął mnie pod ramię, prowadząc ku jadalni. Siedliśmy naprzeciw siebie. W nikłym blasku świec, tkwiących w

staroświeckich lichtarzach wystąpiła bladość jego twarzy. Antoni krążył dyskretnie, nawykły do poszanowania ciszy panującej w domu. Podał nam smacznie przyrządzoną zupę.

- Jedz, proszę. Nie zajmuj się mną. Jestem nieco zatrwożony i niespokojny. To chyba zrozumiałe. Antoni, przynieś nam butelkę hermitage!

Zdecydował się wreszcie na przełknięcie kawałka mięsa i kilku szparagów, które zakropił sporą ilością wina. Nic odzywał się, zdawał się głęboko coś rozważać. Jego wzrok z pewnością nie rozróżniał otaczających go przedmiotów, śledząc wyłącznie bieg jego myśli. Nagle Joachim ocknął się z tego snu na jawie i pośpieszył do telefonu, gdzie wymienił nazwisko pana Hallencourta. Nieszczęsny historyk rozpacział. Zaalarmował już prefekturę policji; o panie Hallencourt nie było żadnej wieści. Joachim zapytał wtedy, czy Eliza nie odbierała tego dnia jakiegoś listu; lecz ojciec nic nie mógł na ten temat powiedzieć. Zawezwał miss Trem. Angielka oświadczyła, że w istocie, przed wyjściem panna Eliza rozmawiała przez chwilę z jakimś chłopczykiem, przybyłym do niej z listem. Premery zażądał opisanego wyglądu posłańca.

Gdy wrócił do jadalni, miał twarz wypogodzoną i uśmiechniętą, a oczy mu błyszczały jakimś przekornym triumfem.

- Antoni - zwrócił się do służącego - każ natychmiast zaprzęgać. Wyjedziemy zaraz po obiedzie.

- No i cóż? - zagadnąłem niecierpliwie.

- Ano, logika to cudowna rzecz. Wiesz, gdzie jest Eliza? Musiałem wyznać, że nie mam pojęcia.

- Ponieważ nie jesteś logikiem.

Spieszno mu było ruszyć w drogę. Nie czekał nawet na kawę, on, co tak lubił przesiadywać przy stole po skończonym posiłku, wypijając po dwie lub trzy filiżanki i pykając cygaro, które zawsze odkładał po pięciu minutach.

- Jedź, a żywo - krzyknął do stangreta, podając mu adres pani de Jaulgonne.

Teraz rozumiałem mniej niż kiedykolwiek i spojrzałem na przyjaciela, badając czy zachował zdrowe zmysły.

Koń sunął kłusem. Premery milczał. Noc była tak mglista, że ledwo widoczne niepewnie pełgające gwiazdy zdawały się tkwić w pajęczynie.

Powóz zatrzymał się na bulwarze Królowej. Premery zeskoczył i energicznie zadzwonił. Odźwierny zastąpił nam drogę. Był to człowiek sztywnej postawy, uśmiechnięty z przyczernionym wąsem: przypominał fotografię z 1880 roku.

- Pan de Jaulgonne wyszedł, a pani w Paryżu - oznajmił nam tonem uprzejmym lecz z domieszką zgorszenia, jakby ubolewał, iż oto tylko on jeden zachował dobre maniery z przed laty trzydziestu.

- Jestem Joachim Premery - rzekł szorstko mój przyjaciel.
- Pan de Jaulgonne, mój wnuk, jest w domu i oczekuje mnie.

Oślupiały concierge usiłował nas powstrzymać, lecz Premery bezceremonialnie usunął go na bok, co dla nieszczęśliwego funkcjonariusza było nowym rozczarowaniem.

Na progu dyżurki ukazał się szpetny wyrostek o głowie porośniętej rudą szczecina.

- Oto posłaniec - rzekł Premery.

Uderzył mnie ten dowód jego pamięci wzrokowej. Przechodziłem tędy równie często - czy też równie rzadko - jak i on. Z pewnością widziałem tego chłopca, lecz nie konkretyzowałem swego patrzenia, podczas gdy Premery utrwał w sobie wszystko, co widział.

Joachim zadzwonił do drzwi na trzecim piętrze.

- Omylił się pan - rzekłem, gdy nikt nie nadchodził po długiej pauzie.

- Niemowlę z ciebie, mój drogi Volpelier!

Szarpnął ponownie za taśmę dzwonka. W tej chwili usłyszeliśmy odgłos jakiejś gwałtownej dyskusji; nie sposób było jednak rozróżnić głosów.

Premery tego dnia wziął ze sobą - zamiast swej zwykłej laski trzcinowej - potężną sękatą pałkę, którą począł grzmocić w drzwi, omal ich nie wyważając. Wtedy doszło naszych uszu coś niby wołanie na pomoc, a po chwili usłyszeliśmy spieszne kroki na korytarzu.

- Hektor - krzyknął ostro Premery przez dziurkę od klucza. - Otwieraj! Drzwi uchyliły się lekko; ujrzeliśmy śmiertelnie bladą twarz Hektora de Jaulgonne.

- Wpuść mnie w tej chwili!

W głosie Joachima brzmiała stanowczość nie dopuszczająca żadnej repliki. Całym ciężarem napierał na drzwi. Hektor ustąpił.

W tym samym momencie z głębi przedpokoju wypadła ku nam Eliza, z rozognioną twarzą, z włosami w nieładzie.

Rzuciła się w objęcia mego przyjaciela i widziałem, że drżała, gdy ruchem topielicy czepiała się krzepkich jego ramion.

Młody oficer, świszcząc coś przez zęby, stał oparty o stół pośrodku przedpokoju i patrzył na nas arogancko.

- Daj mi kapelusz Elizy - rzekł Premery.

- Jest w stołowym.

- Przynieś go tu!

Hektor zawahał się, lecz pod rozkazującym wzrokiem dziadka spuścił głowę i wyszedł, by przynieść ów przedmiot, którego barokowa dekoracja z piór sprawiła szczególnie frywolne wrażenie komizmu pośród całej tej sceny.

Joachim wyrwał mu z rąk nieszczęsny kapelusz i rzucił wnukowi prosto w oczy:

- Jesteś nikczemny!

Hektor de Jaulgonne przerwał swe pogwizdywanie. Twarz mu spąsowiała, lecz nie rzekł ani słowa i spuścił wzrok ku podłodze.

Zeszliśmy po schodach. Na pierwszym piętrze otarła się o nas jakaś niewiasta w obszernym, czarnym płaszczu. Spojrzała na nas niespokojnie, po czym nagle stanęła jak wryta. Premery schwycił ją za rękę i przybliżywszy ku światłu lampy, odsunął czarny welon ruchem tak gwałtownym, iż omal nie zerwał kapelusza. Ujrzelśmy Brygidę; była blada jak upiór, wargi jej drżały.

- Partia przegrana, przegrana z kretelem - rzekł Premery głosem spokojnym, w którym gdzieś na dnie wyczuwałem burzący się gniew. - A teraz proszę ciebie i twego syna, byście mi się już na oczy nie ważyli pokazywać. Żadnych listów ani wyjaśnień, rozumiano? Spokój, cisza!... Jeżeli będę miał ochotę was ujrzeć, potrafię was znaleźć.

Bez słowa, ze zwieszoną głową i opuszczonymi bezwładnie ramionami, pani de Jaulgonne powędrowała dalej.

- Ulica Kanclerska - rzucił stangretowi rozkaz Premery, a za nim zamykał bramę uniżony i skonfundowany odźwierny.

- Mistrzu, mistrzu! - wybuchła Eliza. - Ja nic nie zawiniłam. Zostałam oszukana...

- Wiem, wiem, moja maleńka! Nie mów nic. Odpocznij! Opowiesz mi jutro. Delikatnie ją objął. Panienska przytuliła się do niego, po czym nagle uderzyła w płacz.

- Tak, tak, płacz ~ rzekł Premery. - To doskonale na nerwy.

Milczeliśmy. Eliza tuliła się wciąż do swego wybawcy. W górze tymczasem gwiazdy poczynały jaśnieć nieco żywiej. Minęliśmy Plac Broni, który tej nocy wydawał się dziwnie olbrzymi.

Mignęły nam w przelocie kontury pałacu, który zdawał się jakąś napowietrzną budowlą, jakby wzniesiony wszystek z

lotnego popiołu, prześwietlony tu i ówdzie srebrnozłotymi promykami.

Przed domem Hallencourta Joachim wysiadł z powozu.

- Poczekaj na mnie. Odprowadzę Elizę. Muszę usprawiedliwić się przed jej ojcem. Wrócił po upływie kwadransa.

- No, sprawa załatwiona. Zwaliłem wszystko na Brygidę. Hallencourt uwierzył, iż na skutek nieporozumienia szukaliśmy jedno drugiego, nie mogąc się znaleźć. Teraz odwiozę cię do domu.

Zaprotestowałem, oświadczając, że po takim dniu powinien wracać jak najszybciej do domu. lecz Premery nie zważał na moje słowa.

- Czy zauważyłeś - zagadnął mnie po drodze - jak dalece w gniewie stajemy się konwencjonalni? Nic nie ogłupia nas do tego stopnia. Nabieramy wtedy jakichś cech nie indywidualnych, powszechnych. Maluczko, a byłbym uraczył Hektora całą litanią komunałów związanych z tą sytuacją. Nie potrafiłem nawet ustrzec się akcentu melodramatycznego! „Dureń” to byłoby jednak odpowiedniejsze niżeli „nikczemnik”. Cała ta machinacja to robota mej córki. Brygida ma charakter kręty jak grajcarek. Sądzi, że wszystko osiąga się za pomocą podstępów. Doprawdy wstyd mi, że jestem jej ojcem. Żadna z figur w mych powieściach nie wykoncypowałaby czegoś równie niedorzecznego! Trzeba było ogromnego zaślepienia i niesłychanej pewności siebie, by przypuszczać, iż Eliza byłaby aż tak skompromitowana obecnością w pokoju Hektora o dziesiątej wieczorem i że to wywołałoby tak wielki skandal w Wersalu! Eliza z ojcem, być może, przystaliby na wszystko z obawy przed opinią publiczną. Ale zapomniano, że pan de Gordes i ja tu jesteśmy!... Co za dziecinny makiawelizm! Choć Brygidzie wydawało się, że Eliza miała dla Hektora coś jakby zaczątek

uczucia, w gruncie rzeczy cały ten spisek godził w moją osobę. Widząc, że nic nie może wskórać swą dyplomacją, a uważając mnie za przeciwnika jej zamiarów, Brygida postanowiła wywołać wielki coup de theatre i wymusić zgodę Elizy, nie dając mi czasu na interwencję. Najkomiczniejsze zaś było owo przybycie cnotliwej matki, która zastaje syna in flagranti. Radbym wiedzieć, jakie były wyjaśnienia, którymi Hektor motywował przed Elizą swe postępowanie... ale domyślam się... Do jutra. Wieczorem przyjdź na kolację, powtórzę ci to, co mi opowiedziała Eliza.

Rozdział 7

Nazajutrz popołudniu Eliza opowiedziała Joachimowi Premery'emu zdarzenia dnia poprzedniego.

Jak to odgadł Premery, Hektor de Jaulgonne istotnie wysłał przez owego rudowłosego wyrostka list do panny Hallencourt, w którym zawiadamiał, iż dziadek jego przyjedzie na podwieczorek do nich na bulwar Królowej i prosił pannę o przybycie tam również. Eliza udała się pod wskazany adres i zdziwiła się wielce, gdy zastała Hektora samego w mieszkaniu. Lecz Jaulgonne oznajmił jej, że Premery - wraz ze mną - niebawem przybędzie, i zasiedli do herbaty we dwoje. Gdy jednak nasze opóźnienie zaczynało już ją niepokoić, Hektor zaproponował jej obejrzenie kolekcji figurek przywiezionych z Polinezji. Zawahała się, po czym, nie podejrzewając całej machinacji, jakiej padła ofiarą, zdecydowała się przestąpić próg jego pokoju.

Ledwie tam weszła, Hektor, rzucił się jej do nóg i wyrecytował wyznanie miłosne, w którym nie mogła nie zauważyć sporej dozy sztuczności i teatralności. Pierwszym jej odruchem była chęć ucieczki. Podskoczyła ku drzwiom, lecz Hektor zamykając je na klucz, oznajmił chłodno, że jest uwięziona i że zwróci jej wolność dopiero wówczas, gdy da mu nadzieję. Eliza, choć śmiertelnie przerażona, nie straciła głowy. Wyczuła, że im mężniej się zachowa, tym bardziej go onieśmieli.

Usiadła więc przy oknie i zimno oświadczyła, że siłą od niej nic nie uzyska, oraz że nigdy by nie przypuszczała, iż wnuk Joachima Premery'ego jest człowiekiem nieuczciwym.

Hektor, niemal bliski płaczu, począł błagać ją o wybaczenie tego szalonego czynu, do którego popchnęło go miłosne zapamiętanie.

- Tak, tak, - wyznał - postępowanie moje jest niedorzeczne, wiem. Lecz, pani, nie potępisz mnie, gdy

pojdziesz, jak strasznie cierpię z powodu jej istotnej czy też udanej obojętności. Nigdzie nie mogłem zbliżyć się do pani i wyznać jej mojej miłości. Nigdy nie widzę cię sam na sam, nie chcesz mnie słuchać. Jedyne raz, gdyśmy przechadzali się wspólnie, wykręciła się pani od wszelkiej rozmowy. Musiałem uciec się do podstępów! Lecz nie potrzebujesz niczego obawiać się z mej strony; kocham cię i szanuję, błagam tylko byś zechciała mnie wysłuchać.

Mówił długo i nawet nie bez elokwencji; opisywał swe męki, niepokoje, skruchę z powodu swego postępu.

- Gdyby moje serce było wolne - zwierzyła się naiwnie Eliza - zdaje mi się, że w końcu by mnie wzruszył.

Jaulgonne najwidoczniej liczył, że zafascynuje Elizę swoim węzowym tańcem. Niewątpliwie podczas tej gwałtownej sceny twarz jej musiała wyrazić nieco owego wzruszenia, jakiemu ulega każda dziewczyna wobec dobrze wyreżyserowanych oświadczeń. Zauważywszy to, Hektor zdwoił żar swej wymowy. Wieczór tymczasem jednak zapadał i nieszczęsną Elizę trapiła myśl o ojcu i o nas. Zwróciła się do Hektora, błagając by ją wypuścił.

- Nie wcześniej, aż usłyszę od pani formalne przyrzeczenie - oznajmił twardo. - Jeżeli dziś panią wypuszczę, nigdy już jej nie schwyć.

- Tego istotnie może pan być pewny - odparła.

Wówczas, widząc, iż go nie przekona, i nie chcąc wywoływać skandalu, który by w nią samą ugodził, na co oczywiście liczył Hektor, zamknęła się w sobie, milcząc uparcie i nie reagując wcale na jego nalegania, skargi, groźby i zaklęcia.

Mimo to jej zdenerwowanie połączone z uczuciem jakiejś panicznej trwogi, wzrastało w miarę zbliżania się nocy, gdyż nie wyobrażała sobie, jak skończy się ta cała przygoda.

Wreszcie usłyszała głucho uderzenie w drzwi i, nie zważając na gniew Hektora, zaczęła wzywać pomocy.

Gdyby nie nasze wtargnięcie w pięć minut później Brygida de Jaulgonne zastałaby Elizę sam na sam z Hektorem i nie omieszkałaby odwieźć jej do ojcowskiego domu, opatrując ten fakt komentarzami, które nietrudno odgadnąć. Wyjaśnienia Elizy, obłudnie zbijane kontratakiem Hektora, wzbudziłyby tylko połowiczne zaufanie. Nikt nie kwapiłby się uwierzyć, że panna Hallencourt sama udała się do mieszkania młodego kawalera i pozostała tam aż do dziesiątej wieczorem, gdyby nie miała po temu ochoty. A nazajutrz, od dawna już urabiana przez panią de Jaulgonne, opinia publiczna srodze zgorszona, zdecydowałaby o konieczności małżeństwa, do którego zawarcia bezwolny pan Hallencourt zmusiłby w końcu swą nieszczęsną córkę.

Joachim Premery wysłuchał spokojnie tego długiego opowiadania, często przerywanego wybuchami płaczu. Gdy Eliza skończyła, wstał z fotela i złożył jej delikatny pocałunek na czole.

- Proszę cię, moje dziecko, o przebaczenie, że mam taką córkę i takiego wnuka. Gdy po tych słowach odsunął się od niej, Eliza schwyciła go za ramię i zawołała:

- Mistrzu mój ukochany, czy chcesz mnie opuścić?

- Ależ, Elizo! Któż o tym mówi?

- Niechaj mi pan pozwoli żyć tu, blisko ciebie, przy tobie. Pan jeden jest mym opiekunem, moim obrońcą. Pan tylko jeden posiadasz moc, serce, rozum. Jedyne tutaj mi dobrze, tu, w cieniu twojej postaci. Niech mnie pan nie wygania! Dokąd pójdę? Pan wie dobrze, że tam, u nas, w domu, jestem bardziej samotna niż na bezludnej wyspie; pozbawiona czułości i opieki.

- Elizo, zaklinam cię...

- Tak, oczywiście, jestem dla pana dzieckiem. Ja się nie liczę. Cóż więc mam uczynić, abym była przez pana traktowana jako kobieta, nie zaś jak małe dziewczątko? Może wziąć kochanka? Dobrze: będę miała kochanka i przyjdę powiedzieć to panu. Może wtedy zacznę istnieć dla pana, może pan mnie wtedy pokocha!

- Elizo, mógłbym być twoim dziadkiem...

- Dlaczego, dlaczego nie chce mnie pan kochać?

Wtedy, wbrew jego woli, słowo, którego nie chciał wymówić wydarło mu się w piersi i przecisnęło przez drżące wargi: wymówił je niemal bezwiednie, lecz w tej chwili uczuł, że uścisk Elizy stał się jeszcze gorętszy, gdy mu odpowiedziała:

- Nie wierzę. To niemożliwe, mówi to pan z litości! Jesteś dla mnie zbyt wielki, zbyt niedostępny. Nie, nie, kłamiesz, by mnie pocieszyć. Ach, jakże będziesz żałował tego słowa, jeszcze dziś...

- Elizo - powtarzał - kocham cię...

- Więc weź mnie, zabierz - szepnęła z zapartym od szczęścia oddechem. - Jestem twoja.

Musiał odsunąć się od niej, wziąć ją za ręce i siłą posadzić w fotelu. Powtarzała wciąż w ekstatycznym jakimś zapamiętaniu:

- Pan mnie kocha, pan, pan, Joachimie Premery...

Lecz jakiś przekorny demon, którego poszepty od początku tej sceny nurtowały umysł wielkiego pisarza, ukazał mu w tym momencie jej tragikomizm. Mimo napięcia, mimo podniecenia zmysłowego, Premery nie mógł nie stwierdzić z zakłopotaniem, iż oto był przedmiotem nadmiernego kultu, kultu, rzecz by można, nie wiążącego się z jego ludzkim wymiarem.

Pochylił się nad Elizą.

- Tak, ja, Joachim Premery. I nie powtórzę ci tego już nigdy, Elizo, gdyż w moim wieku nie powtarza się takich słów dziewczynie w twoich latach. A wyznałem ci to po to, abyś o tym wiedziała i zapomniała na zawsze, ponieważ nie mam prawa powtórzyć tego wyznania, a obowiązkiem moim jest zapomnieć o nim również.

Nie wiadomo, jaka odpowiedź padłaby z ust Elizy, w owej bowiem chwili wszedłem do pracowni Joachima i przerwałem tę rozmowę.

Następny ranek spędził Premery w towarzystwie Aleksandra Girvala. Po rozmowie z nim zasiadł pośpiesznie do śniadania, po czym o wczesnej godzinie wyszedł z domu.

Niebo mętniało. Powietrze było parne i ciężkie. Bezkształtne chmury wlokły się nisko, tak nisko, iż wychodząc z Avenue de Paris w stronę pałacu, Joachim odniósł wrażenie, że patrzy na zamek Meluzyny, otoczony parą i bliższy owych mgieł, których się czepiał, aniżeli tych nierównych brukowców, pośród których tkwił korzeniami.

Byłem zajęty pisaniem, gdy wszedł Premery. Dziwnie odbijała od jego krzepkiej i rześkiej postaci ta twarz zwiędła i znużona o rysach zwarzonych, o oczach, dla których świat zewnętrzny zdawał się już nie istnieć. Na pytania odpowiadał monosylabami.

- Czy wiedziałeś, że Girval kocha się w pannie Hallencourt? - przerwał mi nagle.

- Domyślałem się. - Skąd?

Opowiedziałem o spotkaniu w parku, w którym tamtego dnia Eliza przechadzała się z Hektorem, oraz o wizycie Girvala u mnie "nazajutrz.

- Dlaczego mi o tym nie wspomniałeś? Był u mnie dziś rano ~ oznajmił. - Wyznał mi wszystko! Kocha ją od chwili, gdy ją poznał. Pomijam szczegóły. Zaklinał, bym mu pozwolił wrócić do swej decyzji wyjazdu. To osobliwe. Ten

inteligentny i subtelny chłopak wyraża się jak automat, używa gotowych frazesów, można by przysiąc, że mówi w imieniu jakiejś osoby trzeciej! Ale głos natury jest bezimienny. Nie posiada majątku - powiada - nie wyrobi sobie ani nazwiska, ani pozycji wcześniej, niż za dziesięć lat. Nie może więc do niczego pretendować... Słowem, pilno mu zostać sklerotykiem i wątrobiarzem.

- Czy Girval domyśla się?

Premery drgnął i spojrzał na mnie z ukosa.

- Nie, wcale. Na szczęście.

- Co mu pan odpowiedział?

- Prosiłem, by poczekał tydzień.

- Po tygodniu nic się nie zmieni.

- Kto wie?

- Panna Hallencourt nie pokocha nagle Girvala.

- I ja się tego obawiam!

- Zatem?

- Ha, jeśli nic się nie zmieni, Girval wyjedzie! Nie będę go zatrzymywać wbrew jego woli. A jednak... może to będzie dla niego wyrok śmierci, w każdym razie śmierci intelektualnej. Powinny istnieć prawa dla obrony ludzi od nich samych. Girval, przysięgam ci, posiada umysł wyjątkowy. Pokażę ci ostatni jego rękopis. Jest w nim coś z hrabiego Gobineau z domieszką niejakiego liryzmu filozoficznego, który przejął ode mnie.

- Czy pan znalazł sposób by go powstrzymać?

- Jeszcze nie... Lecz myślę z goryczą, że oto człowiek ten ma zmarnować sobie życie z powodu miłości, o której zapomni za trzy lata...

- Albo nigdy - zauważyłem z mimowolnym akcentem rozdrażnienia.

- Masz słuszność - rzekł Premery. - Albo nigdy.

W kilka dni później otrzymał od Elizy następujący list:

Dlaczego, Drogi Mistrzu, nie widzę Cię? Czemu nie napisałeś do mnie, od tego dnia? Czyżbym mimo woli Cię zraniła? Nie śmiem wprost wspominać, ledwo pamiętam to, co mówiłam, to, o czym śmiałam myśleć. Umieram ze wstydu, gdy o tym myślę. Chciałabym wtedy nie wiedzieć, że Cię znałam kiedykolwiek. Jakże musisz mną pogardzać! A to jest właśnie, Mistrzu Mój Umiłowany, rzecz, której nie mogę znieść. Wolę raczej śmierć aniżeli Twoją wzgardę. Nie potrafiłabym żyć bez Twojej przyjaźni, bez Twojej czułej troskliwości i serdeczności! Tak, bez Twego serca! Czyż kobieta może żyć bez czułości, czyż kobieta, która Ciebie poznała, może obyć się bez Ciebie?

Wiem dobrze, że dla Ciebie jestem nikim. Wiem też, że powodowany bezgraniczną dobrocią, ulitowałeś się nade mną. A poza tym bawię Cię, jak lalka, jak cacko na etażerce - miłe i błahe. Lecz Ty, który znałeś, który kochałeś tyle niezwykłych kobiet - najpiękniejsze, najbardziej ponętne kobiety Twojej epoki - skądże miałbyś interesować się mną? Przy całej mej próżności i pewności siebie, jestem istotą mniej realną, niż rzecz stworzona przez Ciebie, niż istota, co żyje i porusza się na Twój rozkaz, niż jedna z tych niezniszczalnych postaci niewieścich, które będą wzruszać i zachwycać wówczas, gdy ja będę już tylko garstką prochów.

Ja Ci nic dać nie mogę, prócz mej miłości. Może to nie jest miłość. Nie kocha się własnych płuc i własnego serca. Po prostu niepodobna się bez nich obyć. Ja nie mogę obyć się bez Ciebie. To miłość? Nie wiem. Nie doznałam jej nigdy. Może to jest właśnie to, co poeci nazywają miłością, może to było w Julii wobec Romea, to żywiła hrabina Randau dla lorda Ricketta, Minna dla Juliana Guereta? Mówię niepewnie, bezładnie. Któż lepiej od Ciebie zdołałby wyjaśnić, czym jest miłość?

Powiedziałeś, Mistrzu, że mnie kochasz... O, dzięki za to słowo! Jakże słodką rzeczą bywa kłamstwo, jakże dobroczynną! Czyliż mi kiedy jakakolwiek prawda przyniesie podobną radość? Gdybym była owego wieczora umarła - jakże cudne pozostałoby moje życie! Nie umarłam... i wiem, że Ty jesteś bezgranicznie dobry. Lecz największa dobroć to jednak nie to, co najsłabsza choćby miłość...

Nie mogę być dla Ciebie wszystkim, wiem. Pozwól mi chociaż wejść w Twoje życie. Będę ci żoną, kochanką, czym rozkażesz, lecz nie odpychaj, pozwól mi być blisko Ciebie, oddychać powietrzem, którym Ty oddychasz. Napisz, zawołaj, milczenie Twoje torturuje mnie i przeraża; czyżbym miała Cię utracić, nie zobaczyć już nigdy! To byłoby zbyt okrutne...

Joachim Premery pokazał mi ten list.

- Biedne dziecko! - rzekł. - Czy los jest sprawiedliwy? Chwilami wydaje mi się, że zwątpię we wszystko?

Odczytałem ze smutkiem ten bolesny apel; serce ścisnęło mi się ze współczucia.

- Trzeba tu wziąć pod uwagę jej wiek, osamotnienie, egzaltację - dodał Premery. - Lecz to, co pozostanie, będzie jeszcze bezprzykładne. Wyobrażasz sobie tę istotę w rękach Hektora? - zawołał w nagłym porywie gniewu.

Przemknęła mi wówczas myśl: czy Joachim nie żywił względem wnuka uczucia jakiejś ślepej zazdrości. Eliza kochała go w tej chwili, to prawda... lecz Hektor miał dwadzieścia cztery lata! Któż mógł ręczyć za przyszłość?

- Cóż pan uczyni z Elizą? - zapytałem z rozpaczą. Podsunął mi ostatnią kartę listu;

- Będę ci żoną, kochanką!... Nawet nie spadkobierczynią! Patrzyłem nań, nie mając odwagi powiedzieć słowa.

Odtąd Joachim Premery rozpoczął walkę przeciw samemu sobie.

Widywałem go codziennie i mogłem śledzić wszystkie fazy tej walki. Niekiedy sam o nich informowałem szerzej, bądź też poprzestawałem na aluzjach, wypowiedzianych w krótkich zdaniach; ironicznych, bolesnych.

Eliza w owym czasie męczyła się nie mniej od Joachima. Niewiarygodna wiadomość, że Premery ją kocha, była jutrzenką szczęścia. Dziewczyna przyjęła tę wieść w upojeniu i dalej już nie rozumowała. Zostać żoną Joachima - to według niej rzecz całkiem prosta. Była zupełnie szczerą, gdy mówiła, że nie dostrzega jego wieku; wybraniec - półbóg nie ma wieku. Jeśli zaś nawet czasem zbudziła się w niej jakaś refleksja na ten temat, potrafiła bez trudu zdławić ją w zarodku. Zdawała sobie sprawę z tego, że ma przed sobą niewiele lat współżycia z Joachimem, lecz za trzy lata szczęścia przy jego boku uczyniłaby chętnie ofiarę z całego swego życia. Gdy to mówiła, nie myślała o tym, że te trzy lata będą miały swój kres.

Odwiedzała Joachima codziennie, wymieniali zdania pełne serdeczności, lecz rezerwa i powściągliwość przyjaciela przejmowała ją chłodem. Pragnęła mówić jedynie o przyszłości, on zaś przerywał rozmowę, skoro tylko poruszała ten temat.

Często spotykała się z Girvalem i nieraz szła z nim na wspólną przechadzkę do ogrodu, gdy Premery zostawiał ich we dwoje. Zamykał się bowiem w swej pracowni, aby niebawem ukazać się ponownie pośród nas, gdyż rozmowa i widok życia były dla niego nieodzownym bodźcem do pracy umysłowej.

Młodzi rozmawiali o Joachimie Premerym. Eliza cieszyła się, że może o nim mówić komuś, kto go kocha niemal równie gorąco jak ona sama. Prowadzili długie rozprawy o jego książkach. Prześcigali się w tym kulcie wielkiego człowieka. Lubowali się w kreśleniu jakichś fikcyjnych, wyjątkowych

sytuacji, w których ich poświęcenie mogłoby wystąpić w całej pełni. W ten sposób młodość każdej z tych dwojga istot sięgała tego samego poziomu egzaltacji. Każde z nich było w tych latach, gdy się w życiu wewnętrznym wpada w szaleństwo wzniosłości, gdy tę duszę, która się później tak składnie przystosuje do przeciętności, pragnie się umieścić na najwyższych szczytach uczucia. Przy tym wiarę Girvala w geniusz Premery'ego może podsycać ufność, jaką pokładał Mistrz w przyszłości Girvala... Przecież Premery właśnie pierwszy odkrył w nim mniemaną iskrę, którą pragnął rozdmuchać.

Jeżeli w następstwie Aleksander Girval nie spełnił nadziei pokładanych w nim przez Joachima przyczyniły się do tego częściowo okoliczności. Niemniej Girval odegrał świetnie swą rolę na światowej scenie, tylko rola ta różniła się od tej, jaką wróżył mu jego mistrz. Znacomity bowiem ten logista zbyt niepodzielnie wierzył w logikę, a niedostatecznie - w przypadki.

Spotkania z Girvalem, zamiast działać na Elizę kojąco, rozstrajały ją jeszcze bardziej. Podniecając swą wyobraźnię, dotkliwiej odczuwała ból z powodu straty swego wyjątkowego przyjaciela. Traciła go bowiem, jak mniemała, traciła z każdą chwilą, skoro go już nie zdobywała. Któż mógł jej przepowiedzieć, że po takiej radości przypadnie jej w udziale podobna rozpacz! Dni wydawały się jej tak długie, iż zapomniała, że od owego pamiętnego dnia, gdy usłyszała wyznanie Joachima, upłynął zaledwie tydzień.

Pod koniec pewnego popołudnia, wychyliwszy się w oknie, patrzyłem, jak powolnie konający dzień pochylał się nad basenem Neptuna, wyzbywając się pozłoty i purpury, składających się na jego wspaniałość i suwających się teraz ku wodzie, daremnie usiłującej stworzyć sobie z nich równie piękną ozdobę. Ołowiane postacie ludzkie i zwierzęce,

okalające basen trwały obojętne wśród tej gry światła. Chłodne, szare i nieczułe wobec tych ognia, którymi natura zapraszała je na swój bankiet.

Patrzyłem, podziwiałem, dumiałem melancholijnie, gdy usłyszałem na dole rytmiczne kroki Elizy Hallencourt, która po chwili, ku memu zdziwieniu, zadzwoniła do mych drzwi. Wybiegłem na schody, by ją powitać.

Gdy stanęła tuż przy mnie, uderzyła mnie bladość jej twarzy. Pod oczami znaczyły się brunatne cienie. Wargi pozbawione zwykłej im świeżej purpury miały barwę niemal siną. Cierpiała fizycznie, jak cierpią ludzie bardzo młodzi, którzy odczuwają ból niejako na powierzchni. Uczułem litość na widok tego jej smutku. W dziewiczości jakiejś istoty wobec cierpienia jest coś, co nas przejmuje jakby otuchą i każe wierzyć w łaskawość życia, choć wiemy dobrze, że takie określenie jest niedorzeczne!

Wprowadziłem Elizę do pokoju służącego mi za pracownię. Zaledwie usiadła, zawołała:

- Nie chciałam odejść, nie zobaczywszy się z panem raz jeszcze. Pragnę też zawiadomić o mym postanowieniu.

- Odejść, panno Elizo? Dokąd?

- Rozważyłam głęboko swój zamiar. Niech pan nie myśli mnie od niego odwodzić. Czuję, iż jestem tu zbędna.

Mówiła z egzaltacją; widziałem, że jej oczy błyszczące nienaturalnie nie patrzyły na mnie, lecz jakby w stronę kogoś znacznie ode mnie wyższego.

- Wstępuję do klasztoru!

Nie wyraziłem najmniejszego zdziwienia. Spodziewałem się nieuchronnie usłyszeć coś w tym rodzaju. Klasztor i śmierć ~ gdy się ma dwadzieścia lat - wydają się łatwiejsze do przyjęcia niż życie. Nastrój taki trwa dopóty, dopóki temu życiu przypisujemy zbyt wielką doniosłość. Lecz później...

- Dobrze - rzekłem. - Klasztor to przystań spokojna. Nie dostrzegałem w pani takiej pobożności. Zatem zamierza pani poświęcić się Bogu?

- Bogu? Tak... Nie. To jest właściwie...

- Jakże więc, panno Elizo? Toż pani dobrze wie, że do klasztoru wstępuje się tylko wówczas, gdy się czuje powołanie do służby bożej...

Eliza natychmiast uderzyła w płacz.

- Ja nie idę z powołania. Pragnę tylko zwrócić wolność Joachimowi Premery'ego. Jestem mu ciężarem, wiem o tym. Pewnego dnia uczułem litość nade mną i, w odruchu tkliwości, powiedział mi, że mnie kocha... Ja jednak wiem, że to nieprawda i że Premery gorzko żałuje swego wyznania. Sprawia mu to tym większą przykrość, że jest kochankiem pani de Clemadienne i obawiam się podniecić jej zazdrość okazywaniem mi swych względów. Widzi pan zatem, że muszę zostać zakonnica!

- Premery nie pocieszy się nigdy, skoro się dowie, że z jego powodu skazała się pani na klasztorne więzienie - rzekłem z powagą, udając, że postanowienie jej traktuję serio.
- Chcąc zatruć mu życie aż do końca dni, nie innego użyłaby pani sposobu.

Słowa te poruszyły Elizę do żywego. Bez trudu przekonałem ją, że Premery czułby się odpowiedzialny za podobną decyzję z jej strony. Nie śmiałbym ręczyć, czy doprowadzenie Joachima do rozpaczki nie było właśnie jej intencją. Nie sposób rozróżnić, w jakim stopniu szczerłość obowiązywała w tej komedii, którą Eliza odgrywała przede mną, albo raczej przed sobą. Wiedziała, że naprawdę nie wstąpi do klasztoru; gdyby jednak ktoś to powiedział, wzburzyłaby się wielce. Szukała po omacku, wyteżęła umysł, aby przez powzięcie ważnej decyzji znaleźć drogę do wywołania jakiejś sceny, przewrotu, który by odmienił

sytuację i obrócił na jej korzyść. Nie mając odwagi zaatakować Joachima, szukała najskuteczniejszego sposobu, by przechylić szalę na swoją korzyść. Te skryte, kręte ścieżki jej umysłu obecnie prowadziły do mglistej efemerycznej konkluzji, że czeka ją żywot mniszki.

Wyperswadowanie jej tego kosztowało mnie nieco trudu, gdyż zamiar ów stawał się dla niej coraz bardziej realny - w miarę jak wykazywałem jej całą jego niedorzeczność. Zatriumfowałem nad jej uporem dopiero wówczas, gdy przyrzekłem, że nazajutrz skłonię Joachima do odbycia z nią ostatecznej rozmowy.

Odprowadziłem ją do wyjścia. Pocieszy się - myślałem. - Albo raczej - nie, nie pocieszamy się, tylko zastępujemy jeden przedmiot drugim, jedną istotę - inną. To jedno z praw życia ludzkiego. Mamy dookoła siebie szeregi wnęk, w każdej z nich chroni się piedestał z napisem: napisy te - to nazwy naszych uczuć. Najważniejsze, by wnęki nie były próżne. Nieraz usuwamy umieszczone w nich posągi, zastępując je nowymi. Tylko, że na to Premery nie jest już dość młody i giętki.

Złocista panienska lekko zbiegła po schodach. Śledziłem z okna jej postać, ginącą w cieniach ulicy. Potem spojrzałem na ogród. Basen Neptuna tonął w głuchym mroku.

Rozdział 8

Nazajutrz wieczorem, gdy po obiedzie siedziałem w salonie czytając książkę, oznajmiono mi przybycie Antoniego, kamerdynera mego przyjaciela. - Pan Premery oczekuje pana - rzekł wierny sługa. - Powóz stoi przed bramą. Pan Premery pragnie widzieć się z panem natychmiast. Chwyciłem kapelusz, laskę i za chwilę byłem w drodze.

Furtka była otwarta; minęliśmy ją, następnie Antoni poprowadził mnie ku pracowni Joachima.

Ujrzałem go siedzącego w fotelu przy biurku, zaś u jego nóg - Elizę. Z głową wspartą na kolanach przyjaciela, zdawała się płakać. Premery delikatnie głaskał jej bujne włosy. Dwa kandelabry z kryształu z tkwiącymi w nich świecami stanowiły całe oświetlenie pokoju, w którym zalegały rozrzucone w nieładzie książki. W jednym kącie widniała wiązanka róż; ich płatki osypywały się na posadzkę. Obydwa okna były szeroko rozwarte, wyzierając w niewzruszony przestwór nocy.

Stałem w progu zakłopotany. Joachim z daleka wyciągnął ku mnie rękę. Podszedłem ku niemu bez słowa. Spostrzegłem, że Eliza już nie płacze, lecz jej westchnienia i nerwowe drżenie ramion świadczyły o niedawnym wybuchu,

- Potrzebowałem koniecznie twego przybycia - rzekł Premery. - Musisz mi pomóc. Fatalnie głupia to rzecz: mieć słuszność!

Po czym nachylił się ku klęczącej dziewczynie.

- Elizo, oto przyszedł nasz przyjaciel Volpelieru. Musisz teraz pozwolić się przekonać. Uniosła głowę i uśmiechnęła się do mnie przez łzy. Twarzyczka jej była zapuchnięta od płaczu, o zaczerwienionych powiekach i brunatnych smugach wzdłuż policzków - groteskowa, zniekształcona buzia dziecka, które zbyt długo płakało.

- Nie możesz mnie zrozumieć - ciągnął Premery. - Nie możesz wiedzieć, ile to kosztuje, mówić do ciebie w ten sposób. Oto już od szeregu dni i nocy usiłuję jasno zdać sobie sprawę...

- Rozumiem tylko jedno: to, że mnie nie chcesz.

- Istotnie. Jesteś dla mnie darem zbyt cennym. Nie darowuje się ślepcowi obrazu Watteau, Elizo, głuchego nie prowadzi się na Dziewiątą Symfonię.

- Ponieważ mnie nie kochasz!

- Ponieważ zanadto cię Kocham. - I dodał ciszej: - Ponieważ nic na świecie nic wydaje mi się tak piękne, tak czyste, tak szczere jak ty, moja maleńka Elizo. Bo jesteś śmigła i bystra, niby łania na kwiecistej łące. Gdyż młodość winna iść ku młodości. Przeżyłem tu, w tym pokoju, długie samotne noce, pragnąłem wtedy zapomnieć o wszystkim, stracić swoje nazwisko, sławę i dzieła i zbudzić się prostym szewczykiem w zapadłej wiosce... A jednak zwyciężyłem sam siebie!

- Pan myśli tylko o sobie! - wykrzyknęła z pasją.

- Niestety, nawet egoizm nie jest mi dozwolony. Uratowałem cię wbrew twojej woli, uratowałem od ciebie samej. Smutne to byłoby przebudzenie, gdybyś pewnego dnia ocknęła się z szeroko rozwartymi oczami, już nie rozkochana marzycielsko w wielkim człowieku, lecz przykuta do boku starca bliskiego ruiny. Mówiłaś, że byłaś gotowa wyjść za Hektora; zgodzisz się przyjąć Girvala.

- Hektor to pański wnuk.

- To tylko mój wnuk. Girval to mój duchowy syn, to moja myśl ucieleśniona, cudem rozpoczęta na nowo. Od niego do mnie jest przejście gładkie, bez jednego zahaczenia. Nie mam w tym żadnej zasługi, że go Kocham - to jakbym siebie kochał. Czy wybrałabyś mnie wtedy, gdy miałem lat trzydzieści? Wątpię, zwabiło cię to brzemień blasku, co mnie obarcza.

Girval się go doczeka. Oddając mu rękę, poślubisz tego, kto najbardziej do mnie jest podobny, kto będzie moim dalszym ciągiem na tej ziemi. Obdarzysz go szczęściem i dopomożesz w realizacji mego drugiego ja.

- Girval to nie pan.

- Wiem o tym, niestety. Ale cóż? Mnie już nie ma, on zaś dopiero będzie.

- Nie kocham go.

- Pokochasz. Pasujecie do siebie jak śpiew z fortepianem. Gdyby nie stał pomiędzy nami, już byś go kochała. Wierz mi, znam go dobrze i wiem, że jest dla ciebie stworzony, tak jak ja sam byłem stworzony. Rozdziela nas drobna niedokładność: trzydzieści lat. Pomiedzy wami nie ma przeszkód. Komu mógłbym cię oddać, gdybym nie miał jego?

- Zatrzymałbyś mnie.

- Na jak długo? Zachowuję cię, oddając Girvalowi. Kochając jego, będziesz właśnie wciąż jeszcze mnie kochała. Moja myśl, mój sposób ujmowania życia, mnóstwo cech, których nie zdążyłem rozwinąć, a które on w sobie rozwinie. Nikt na świecie, oprócz mnie, nie kocha cię tak jak on.

- Nie wierzę w pańską miłość!

- Powinnaś wierzyć, moja maleńka. Jakżeby ten, kto ma niebawem umrzeć i wie o tym, jakżeby nie kochał ostatniego promienia dnia, dnia, po którym już dlań nie będzie jutro? Nie kochać ciebie?! Och, czuję, jak bije twoje serce, czuję to wyraźniej niżeli bicie własnego!

- Jakże zdołam żyć bez pana?

- Będziesz żyć przy mnie aż do mojej śmierci. Nie będzie już między nami żadnych wątpliwości, żadnych wahań, niepokojów. Będę uwielbiał cię całą duszą i będę widział cię szczęśliwą.

- Czy będę szczęśliwa?

- Aleksander będzie kochać cię tak, jakbym ja cię kochał trzydzieści lat temu. Gdybyś przyjęła oświadczyzny Hektora, Girval może przepadłby w koloniach. Jesteś dla niego marzeniem, cudem zaklętym w żywy kształt.

- Nie opuści mnie pan nigdy?

- Przysięgam ci!

- Więc weź mnie za żonę!

- Nie odstąpię od swego postanowienia. Nie wymagam od ciebie natychmiastowej odpowiedzi. Wyłożyłem ci swoje najgorętsze życzenie. Czyż nie mam racji, Volpelier?

Zabrałem głos, podkreślając ważkość motywów decyzji powziętej przez Joachima. Słuchała teraz już znacznie mniej przerażona. Nie mylił się Premery. W oczach Elizy Girval był po części jego sobowtórem. Oddając mu rękę, nie traciła Joachima, nie oddalała się od Mistrza. Wydawało jej się, że jej abstrakcyjne uwielbienie nie wymagało realizacji zupełnej; że nie straciłaby Joachima, zawierając małżeństwo, które by ich dwojga nie rozłączyło; że poślubić człowieka, który do tego stopnia ubóstwiał Joachima, to znaczyło: kochać go wciąż; że wreszcie miała właśnie sposobność dowiedzenia mu swej miłości przez wykonanie tego czynu, tego romantycznego szaleństwa, tego gestu szlachetnej rezygnacji, do którego, wyzywali się wzajemnie - ona i Girval.

Zatapiała się teraz w tych rozmyślaniach - z bolesną lubością, tonęła w jakiejś mistycznej ekstazie. Ofiara jej - czy też to, co uważała za ofiarę - tak ją fascynowała, że nie widziała jego ofiary odbierającej ostatnią nadzieję. I widziałem z jednej strony Elizę niemal ucieszoną ze swej ofiary, a z drugiej Joachima zrozpaczonego swoim heroizmem.

Wówczas jednak nie usłyszeliśmy od niej zgody na przyszłe małżeństwo z Girvalem; nie przyznawała się do tego

sama przed sobą. Potrzebowała wzniosłej walki, ciężko osiągniętego zwycięstwa.

Premery stał przy oknie i patrzył w noc, w mroczne jej oblicze. Jemu żaden obraz nie niósł ukojenia. Wyczułem, że myślał o śmierci.

- Listki uczuć młodości - rzekł cicho - niezbyt mocno trzymają się drzewa. Widziałem, że miał niemal żal do Elizy, iż tak łatwo ją przekonał! Czyżby się spodziewał

znaleźć w upartej odmowie z jej strony przyzwolenie, pretekst, który pozwoliłby mu przyjąć dar, który mu niosła? Któż wie? Jedno było faktem: to, że był zawiedziony.

Albo może zaczynał doznawać owego znużenia, tej posępnej nudy, tego, jak zwykł był mawiać, *taedium vita* (gorycz zwycięstwa łac.), występującego po wielkich walkach, po trudnych zwycięstwach nad sobą i ukazującego nam nagle całą ich ironię i daremność?

Niebawem zajechał powóz pana Hallencourta. Eliza z pewnym trudem powstała ze swego miejsca, po czym padła Joachimowi w objęcia. Premery dotknął jej włosów ustami i podał ramię towarzysząc jej do wyjścia. U progu zamienili kilka słów szeptem; za chwilę mój przyjaciel stał znów przede mną.

- Voila - rzekł spokojnie. - To było bardzo proste.

Zagłębił się w fotelu i skierował wzrok w dal, ku ciemnej grupie wyniosłych drzew.

- Bardzo proste - powtórzył. I dodał: - Sam na siebie wydałem wyrok, Volpelier. To gorsze niż samobójstwo... Teraz nie mam już nic przed sobą, nic... oprócz Śmierci!... Ale zdarzyło się tak, że zacząłem na nowo wierzyć... w coś innego... Zobaczysz, Volpelier, gdy sam dojdiesz do tego punktu drogi, zobaczysz, że to wcale nie jest zabawne. U skraju, nad samym dołem, widok jest zawsze ten sam, bez względu na to, kto się tam pochyla, a widok ten mrozi krew w

żyłach. Zdaje mi się, że nie uwielbiam nikogo tak jak tej dziewczynki, która nigdy nie pojmie, jak bardzo ją kochałem. Cóż za próżność zresztą: pragnąć przelać w innych swe uczucia, podobnie, jak się ich zaraża ospą czy szkarlatyną! Gdyby Eliza patrzyła na siebie moimi oczyma, nie poznałaby się. Może ona była jedynie ostatnim wcieleniem mojej własnej fantazji, moim Arielem. Żegnaj, Arielu! Po chwili spojrział na mnie.

- Odchodzisz już, Volpelier? Dobranoc. Dziękuję za twą uczynność. Idę położyć się natychmiast. Bardzo mi dziś potrzeba spoczynku i pragnę zasnąć twardo.

Nazajutrz Joachim Premery zamknął się z Girvalem w pracowni i odezwał się mniej więcej w te słowa:

- Drogi chłopcze, prosiłem cię tydzień temu o odłożenie twego wyjazdu. Nie uważałem go wówczas za rzecz konieczną. Dzisiaj mam pewność, że powinienes zostać.

- Niestety! Drogi mistrzu, aby móc to uczynić, musiałbym uprzednio stwierdzić zmianę w mych uczuciach. Otóż są wciąż takie same.

Joachim ujął młodzieńca za ramię.

- Musisz' porozmawiać z Elizą. Trzeba mieć odwagę przedstawienia swych uczuć. Gdzież się podziewa twoja wymowa, gdy jesteś przy niej? Być może, iż jak twierdzi Carlyle, wielkie rzeczy rodzą się w ciszy, ale z pewnością nie miłość.

Aleksander spojrział na swego starego przyjaciela z takim przerażeniem, jakby mu ukazywano horyzonty zbyt olśniewającej krainy. Zgromadzone wokół sprzęty i książki zawirowały mu przed oczyma. Zdawało mu się, że jeszcze nigdy nie widział takiej fali płynnego złota bijącej przez otwarte okna i przypadającej do stóp; że po raz pierwszy słyszał takie mnóstwo ptaków, nawołujących się od drzewa do drzewa.

- Co pan chce przez to powiedzieć?
- No, no, zrozumiałeś.
- Ja jestem niczym, ot, skromnym debiutantem, nad którym się pan ulitował, dziesięciogroszowym literatem!
- Masz przed sobą bezcenną przyszłość. Czyżbym darzył cię takim przywiązaniem, gdybym nie miał tej pewności? Nie omyliłem się dotychczas nigdy w ocenie czyjejś wartości. Czy sądzisz, że posiadam taki nadmiar uczuć przyjaznych, bym miał je marnować, zajmując się miernotami?
- Wszystko dzieli mnie od panny Hallencourt.
- Co na przykład? Twój brat jest zdolnym chirurgiem. Ty sam posiadasz wszelkie dane, aby się podobać...
- Nie mam majątku.
- Eliza jest zamożna.
- O tych nadziejach, jakie pan pokłada w mej przyszłości, pannie Hallencourt nic niewiadomo.
- Owszem, poinformowałem ją. Och, zapewne, nie należy przesadzać! Eliza nie kocha się w tobie; być może przez długi czas będzie miała dla ciebie jedynie szczerą sympatię, lecz na tym należy zacząć budować cały gmach, aż kiedyś na jego szczycie zakołysze się gałąź świerkowa - znak triumfu budowniczego.

Wzruszony do łez Aleksander Girval zawołał:

- Będę więc panu wszystko zawdzięczał, wszystko!
- I ująwszy dłoń sędziwego pisarza, ucałował ją z płomiennym szacunkiem.
- Nie dziękuj mi - rzekł łagodnie Premery. - Tobie zawdzięczam przeżycie głębokich wrażeń duchowego ojcostwa. To ja pozostanę twym dłużnikiem.
 - Niech mi pan pozwoli jeszcze jakiś czas trwać w mej nieśmiałości wobec Elizy ~ odezwał się po chwili milczenia Girval. - Muszę oswoić się z myślą, że mogę się do niej zbliżyć. Wydawała mi się dotąd tak daleka, tak niedostępna, iż

stykałem się z nią jedynie w snach! Tak bolesna była myśl, iż muszę wyrzec się tej dziewczyny, że postanowiłem niezwłocznie się oddalić. Mówiłem sobie: „Jesteś typem zbyt przeciętnym, zbyt prozaicznym dla niej. Nie zamyka się wróżki w kancelarii biuralisty, nie żąda się od syreny, by została sekretarką. Spójrz w moje oczy, ukochany mistrzu: czyż może w nich odbić się taka gwiazda?”

- Biedny dzieciaku - odparł Premery - żeń się z nią i uczyn ją szczęśliwą. I ja taką właśnie miłością kochałbym... Elizę, gdybym miał twoje lata.

Stawiłem się u Joachima o piątej popołudniu - na dziesięć minut przed przybyciem panny Hallencourt. Zauważyłem od razu radość malującą się na przystojnym obliczu Aleksandra Girvala. Emanowała z niego jakaś moc i pogodna ufność. Niemniej zjawienie się Elizy zmieszało go wielce.

- Aleksander zostaje z nami - oznajmił mi Premery. - Przyrzekł, że nie wyjedzie, zostawiając swój romans bez epilogu. Ha, do licha, trzeba słuchać starego majstra!

- Tak bym pragnął, by pan był ze mnie zadowolony - wybełkotał młodzieniec.

- O jedno cię proszę, Aleksandrze: nie zniechęcaj się. Człowiek zniechęca się tylko na skutek własnej próżności. Choćbyś dziesięć razy daremnie skoczył w wodę, skacz jedenasty raz. Skąd możesz wiedzieć, czy właśnie wtedy nie wyłowisz leżącej na dnie perły!

- Mistrzu, natchnąłeś mnie wiarą w samego siebie. Aby ci dowieść, że jestem godny twego zaufania, pragnąłbym, byś zażądał ode mnie poniesienia największych ofiar i trudów!

- Tak, tak, - dodała z zapalem Eliza. - Ja również bym wszystko uczyniła, by pan Premery był ze mnie dumny!

Dwoje młodych spojrzało jedno na drugie: uśmiech porozumienia przemknął między nimi, niby pszczoła

przelotem swym łącząca dwa kwiaty. Nie dostrzegali tego, iż to Premery ponosił ofiarę!

Pod pierwszym lepszym pozorem Joachim zostawił ich samych w jadalni, zabierając mnie ze sobą do ogrodu.

- Otrzymałem list od Brygidy - rzekł. - Córka moja ubolewa i lamentuje z powodu fatalnego nieporozumienia, które nas rozdzieliło i tłumaczy swoje i Hektora zachowanie w sposób wysoce komiczny. Jakże ludzie są naiwni! Brygida wyobraża sobie, że oszuka mnie za pomocą pierwszego z brzegu kłamstwa. Swoją drogą trudno mi będzie nie przyjmować jej przez czas dłuższy. Przypuszczam zresztą, że nie zrezygnowała ze swych zamiarów. Ona na sądzie ostatecznym bodaj jeszcze będzie intrygować! Możliwe, że i w moim charakterze leżała ta szczególna skłonność do mętnych kombinacji. Tylko że wyładowałem ją w swych książkach. Trudno określić, ile różnych namiętności zaspokaja pisarz, tworząc swe dzieła. Toteż nie mogę potępić bezapelacyjnie Brygidy ani Hektora... Przebaczam im tym chętniej, że Eliza już nie wpadnie w ich szpony.

Zapalił papierosa i dodał jeszcze:

- A jednak któż zaręczy, że spotkawszy Elizę w młodości, uszczęśliwiłbym ją? Czy była szczęśliwa moja żona, albo też ta, którą po niej najgoręcej kochałem? Oby w tym Aleksander nie był do mnie podobny! Zawsze za czymś się uganiałem. Za czymś, czego nigdy nie znalazłem. Dziś moje stare głupie serce mówi mi: „To coś to była Eliza!” Ale ono kłamie.

Powiedz mi, że kłamie! Zaznałbym przy Elizie tego, czym mnie obdarzyły wszystkie inne kobiety: owego wrażenia, jakby po długim marszu w skwarze letniego dnia wychyliło się duszkiem szklanekę zimnej wody. To wspaniała rzecz, niewątpliwie, lecz z chwilą, gdy się szklanekę opróżni, szuka się, czym ją napełnić. Wiem o tym dobrze, mówię ci o tym, a przecież prawdopodobieństwo małżeństwa Elizy gnębi mnie

okrutnie. Nie śmiem wręcz wyznać ci, że już jestem zazdrosny o Girvala. Po tym wszystkim, co uczyniłem, aby ich złączyć, nie mogę patrzeć spokojnie, gdy się uśmiechają do siebie; odczuwam wtedy jakiś szczególny dreszcz, przenikający mnie aż do szpiku i miałbym chęć kogoś udusić. Są chwile, gdy pali mnie wstyd, że jestem człowiekiem...

Począwszy od owego dnia, mimo tego, co mi wyznał, Premery prowadził dalej swoje dzieło. Każdego popołudnia młodzi schodzili się pod jego dachem. Umiał zręcznie wciągnąć ich w wielkie dyskusje, w których zawsze zgadzali się w konkluzjach; dawał im sposobność do okazywania tych cech i upodobań, które mogły pociągać ich ku sobie.

Skoro tylko widział, że są objęci żarem takiej rozmowy, zostawiał ich sam na sam, by wrócić w tym momencie, gdy dialog przybierał ów ton poufały, tak miły młodym i przenikającym ich złudzeniem, iż różnią się od ogółu: dziecinna to próżność, z której nas leczy późniejsze poznanie różnorodności typów ludzkich i świadomość, że odrobina oryginalności stanowi o przynależności do elity, czy to intelektualnej, czy społecznej.

Taki powrót Joachima bywał im nie na rękę, gdyż zmuszał do przerwania długiej spowiedzi. Premery spostrzegł zakłopotanie, którego był sprawcą, gorzko radując się zmieszaniem obojga.

Elizę otaczał wciąż tą samą serdecznością, czynił to wszakże nie tak już zręcznie i z tym mniejszą czujnością, im mniej ona sama jej pragnęła.

Początkowo zdawało mi się, że mimo obietnic danych Joachimowi panna Hallencourt będzie długo zachowywać obojętność wobec miłości Girvala. Rychło wszakże musiałem stwierdzić, że oswojenie się z nowym stanem rzeczy przyszło jej wcale łatwo oraz że zaczynała stopniowo gustować w kadzidłach, jakie spalał u jej stóp wpatrzony w nią młodzian.

Girval nie bez wdzięku odgrywał swą rolę; raz przezwyciężywszy nieśmiałość, rozwinął kampanię w sposób nader przekonujący. Eliza wciąż jeszcze kochała Joachima, lecz już miłe jej było towarzystwo Aleksandra. Jego duchowe podobieństwo do wielkiego pisarza - może wręcz całkowicie wymyślone przez tegoż - pozwalało rozgrywać swą miłosną partię na dwóch szachownicach. Zaczynała już sama gubić się we własnych uczuciach, mniemając iż w Girvalu kocha jedynie odbicie Joachima, gdy tymczasem, w rzeczywistości może już w Joachimie szukała cienia Girvala. Oba te uczucia - jedno rodzące się, drugie zamierające - goniły się i krzyżowały w jej sercu, syciły się jedno drugim, raz po raz dręcząc ją, to znów upajając, lecz łącznie stanowiły źródło jakiegoś mglistego zadowolenia, tajnej dumy osnutej na świadomości - czy też urojeniu - że oto ona jest istotą wyższego rodzaju, skomplikowaną, wyjątkową.

Dzieciaki, przejęte każde swą rolą w tej sentymentalnej komedii, nie zauważyły zresztą, iż Premery chętnie podpowiadał im repliki i reżyserował poszczególne wyjścia na scenę.

Pewnego razu, gdy wyraziłem podziw dla jego przenikliwości, Joachim odrzekł:

- Niestety! W sprawie Elizy i Girvala tak niewiele mam zachodu. Miał słuszność Ignacy Loyola; człowiek to maszyna: z chwilą, gdy jest dokładnie nakręcona i naoliwiona, wykonuje wszystko, czego można od niej wymagać. W gruncie rzeczy prorocy mieli łatwe pole do popisu! Zasiałem w duszy Elizy ziarna, które w tej chwili kiełkują; oto zaczyna wierzyć, że jeśli pokocha Girvala, uczyni zeń drugiego Premery'ego, przejmuje się tą swoją misją. Zaczątkiem miłości jest próżność. Eliza jeszcze nie kocha się w Aleksandrze, lecz już bierze na serio swą rolę Beatrycze.

Gdyby jej dziś odebrać tę zabawkę, świata by nie widziała poza nią. Ale nie posunę swej gorliwości tak daleko...

W miarę jak się panna Hallencourt oddalała się od Joachima, przyjaciel mój stawał się znowu zamknięty w sobie, zagadkowy, roztargniony, obcy. Przeobrażał się stopniowo, nabierając owych cech, które mnie tak wielce zadziwiły, gdym się z nim zetknął po powrocie z Dalekiego Wschodu.

Coraz dobitniej ujawniała się jego obojętność wobec naszych spraw, mrukliwość, odsunięcie się umysłem w świat nam nieznany.

Tej pogody, tej młodzieńczej werwy, tego zbratania się z życiem, tego wszystkiego, czym promieniał przez ów krótki okres, gdy domyślał się, a potem przekonał, iż jest kochany przez Elizę, tego już w nim nie widziałem i nie miałem nigdy ujrzeć! Zwolna odrywał się, odłączał od nas, bez premedytacji, może nawet nieświadomie. Podejmował, wróciwszy na skrzyżowanie dróg, tę swoją wędrówkę w samotność. Wyruszył w kierunku, z którego zboczył na kilka godzin.

W samym brzmieniu jego głosu znać było przemianę, mowa stawała się powolniejsza, dźwięczała głucho, monotonnie, bez tych nagłych przeskoków i wybuchów, które w owym czasie tyle barwy nadawały jego powiedzeniom.

Wyrzekając się Elizy, wypuszczał z dłoni cenny klucz otwierający jedną z bram życia. Sprawiał na mnie wrażenie profesora, który, obrócony tyłem do okna zalanego falą wiosennych blasków, znajduje zadowolenie jedynie w kreśleniu na tablicy odnośnych krzywizn meteorologicznych.

Dawniej obecność Elizy sprowadzała go do naszego poziomu, przywracała mu cechy istoty towarzyskiej, wrażliwej.

Teraz, nawet przy niej, zachowywał jakiś dystans.

Pewnego pięknego wrześnieowego popołudnia odwiedziłem Joachima w jego pracowni.

Eliza w towarzystwie Girvala przechadzała się po ogrodzie. Siedzieliśmy sami, z rzadka wymieniając krótkie zdania.

Nieliczne padające słowa z ust Joachima zaprawione były ową goryczą, o której wspomniałem już kilkakrotnie.

- Cóż? - rzekłem w pewnej chwili. - Jakże pan łączy podobne rozgoryczenie z umiłowaniem życia?

- Miłuję przyrodę i pragnąłbym trwać w zgodzie z nią, ale przyroda nie jest wszystkim. Tkwi bowiem w człowieku jakaś głupia ambicja, jakaś niedorzeczna próżność, które się buntują i przeciwstawiają jej prawom, zmuszając go do odgrywania tych ponurych albo też wstrętnych komedii, do jakich jeszcze nie przywykłem. Nędzne błazeństwo kłójące się z naturą - oto mój osobisty wróg,

W tym momencie ujrzeliśmy Elizę i Girvala powracających w stronę willi. Nie widzieli nas i z pewnością nie o nas myśleli. Nagle zatrzymali się; Aleksander ujął dłoń towarzyszki i ukrył w swych dłoniach.

Dziewczyna obróciła głowę ku niemu. Wówczas ujrzeliśmy całkiem wyraźnie jakąś niby przezroczystą modlitewną falę opływającą jej spojrzenie.

Premery rzekł łagodnie:

- Już koniec.
- Czego koniec?
- Kocha go. I dodał:
- Nie myślałem, że to się stanie tak szybko!

Rozdział 9

Joachim Premery udał się na cztery dni do Paryża. Nie wiem, co właściwie tam robił, lecz przypuszczam, że pragnął uciec. Nie chciał patrzeć na szczęście Elizy, szczęście niewyraźne, niepewne, w którym chwilami jeszcze odzywała się tęsknota i żal za innym szczęściem. Premery nienawidził teraz Girvala: wszystkie drzemiące w mym przyjacielu fermenty zazdrości, których istnienie zauważyłem już wtedy, gdy mu wspomniałem o planach Hektora, obecnie kłębiły się, zatruwając mu duszę i przejmując go wstydem, że oto jest zwyciężony przez tamtych dwoje.

Podczas pierwszego spotkania ze mną po swym powrocie do Wersalu Joachim zaczął rozmowę o Girvalu i mówił wyłącznie na ten temat. Wyrzucał mu rozmaite braki, krytykował mnóstwo drobiazgów. Jego przeraźliwie ostry zmysł analityczny imał się teraz Aleksandra z zażartym uporem. Rozbierał na części jego charakter, niby maszynę rozkręconą śrubka po śrubce, i podobnie jak przedtem rozróżniał w nim elementy składające się na istotę wyższego typu, obecnie ukazywał mi niespodzianie portret młodzieńca o przeciętnych zdolnościach, bezwolnego, posiadającego duże aspiracje przy niewielkiej energii, spragnionego wyłącznie wrażeń sentymentalnych. Wydawało mi się, że każdy z tych portretów był zgodny z oryginałem.

- Jest w nim coś z amatora ckliwych romansów przy gitarze - mówił z okrutnym sarkazmem. - Nigdy nie zdołałem wyleczyć go z tej czułościowości a la Rousseau.

Słuchałem tych słów ze smutkiem. Joachim zauważył to. Przechadzaliśmy się w głębi ogrodu, przyglądając się na przemian białej budowli w stylu Ludwika XV wznoszącej się ku niebu na kształt kunsztownie rzeźbionego obłoku oraz błyszczącemu rosą trawnikowi spływającemu zielonobłękitną falą ku rzadniejącym już wiązom. Ruchliwy kos, zaaferowany

niczym gieldziarz, uwijał się w krzakach, ukazując co chwila między gałązkami żółtawy dziób.

Ująłem Joachima za ramię. Przyjaciel mój przystanął i spojrział mi w oczy.

- Masz słuszność, Volpelier. W tej chwili ten chłopak mnie irytuje. Nie wolno mi jednak zdradzić się z tym. Muszę go zaprosić do siebie na pojutrze i porozmawiać z nim dłużej raz jeszcze, gdyż zaraz po jego ślubie wyjadę na pół roku do Włoch. Lecz staw się i ty. Chcę, by ta rozmowa odbyła się przy świadku, bowiem w razie śmierci Girvala, ty będziesz wykonawcą ostatniej mojej woli.

Byłem tedy obecny przy tym spotkaniu, które się utrwaliło w mej pamięci jako jedna z najosobliwszych i najbardziej wzruszających scen, jakich byłem świadkiem.

Aleksander Girval stawiał się o wyznaczonej godzinie. Premery powitał go nader przyjaźnie, był nawet wyjątkowo serdeczny, gdyż w duchu gorzko sobie wyrzucał swą nieprzychylność wobec młodzieńca. Lecz żółtawe cętki rozsiane na policzkach Świadczyły o zdenerwowaniu i nadawały mu fatalny, starczy wygląd. W zachowaniu zaś dawały się odczuć - bardziej niż kiedykolwiek - jakiś przymus i skrepowanie.

Padał deszcz, leciutki drobny deszczyk letni. Zdawało się, że to nie krople wody przeszywają powietrze, lecz promienie jakiejś szaroperłowej gwiazdy. Gałąź dzikiej róży widniejąca tuż za oknem, za każdym razem pod ciężarem spadających na nią kropel deszczu raz po raz zginała się w pokłonie. Z ogrodu zawiewało ku nam jakąś ciężką, kwaskowatą wonią mokrych ziół, grzybów i herbacianych róż. Nad trawnikami i między drzewami snuła się zwiewna, podobna pajęczynie mgła.

I rzekłbyś, że łagodne światło dnia ważyło się w powietrzu niby z wolna pojawiająca się a nieuchwytna myśl.

- Natychmiast po twym ślubie - zaczął Premery - wyjadę na kilka miesięcy do Włoch. Pragnę przeprowadzić tam pewne poszukiwania biblioteczne. Lecz widzisz, Aleksandrze, jestem stary i zdrowie mi nie dopisuje. Gdybym nie wrócił, proszę cię o ogłoszenie drukiem tej części "Zbieraczy kości", którą ukończyłem, resztę zaś uporządkujesz i dołączysz do moich notatek. Znajdziecie to wszystko - do ciebie, Volpelier, zwracam się również, na wypadek, gdybyś miał się tym zająć w zastępstwie Girvala - znajdziecie to wszystko w lewej szufladzie biurka. Po mojej śmierci Antony wręczy wam kluczyk. Wczoraj wieczorem skończyłem pierwszą część mego dzieła. Czy jednak doprowadzę tę pracę do końca? Wątpię dziś w to bardziej niż kiedykolwiek. Wydaje mi się, że docieram już do granicy mych sił.

- Jak ja niedawno, tak teraz Girval spróbował odwieść myśl wielkiego pisarza z tej smętnej drogi. I jak wówczas mnie, tak teraz jemu Premery nakazywał milczenie.

- Girval! Nie jestem dzieckiem uciekającym przed obrazem prawdy. Ucz się i ty patrzeć jej prosto w oczy. Pozwól mi teraz dodać kilka słów, zanim się rozłączymy. Wtajemniczyłem cię w arkana mego kunsztu, starałem się oszczędzić ci całych lat pracy, lecz nie wolno ci zapomnieć tej podstawowej prawdy: nim się zacznie pisać, trzeba żyć. A żyć to nie znaczy, jak mniemają powszechnie, zdawać się na nakazy wszystkich swych instynktów. Uganiać się za spódniczkami, mieć kochanki, śpiewać wiosnę czy miłość, bawić się, pić i bodaj grać w domino - nie, nie, to nie to! Należy przede wszystkim szukać prawdy, w sobie i poza sobą, unikać pozorów jak najgorszej zdrady i pod niezliczonymi naszymi maskami odkrywać głęboką, intymną, prawdziwą istotę. Ten tylko jest godzien miana prawdziwego pisarza, kto na każdej stronie swego rękopisu utrwała cząstkę - choćby najdrobniejszą - prawdy wieczystej. Mówiono ci, że duch

klasyczny to w pierwszym rzędzie ład, umiar, wytrwałość; nie wierz temu. Klasycyzm to poznanie. Im więcej w dziele swym przedstawisz faktów życiowych oświetlonych, że tak powiem od wewnątrz, tym bliższy będziesz klasycyzmu. Znajomość życia i stylizacja tego życia - oto istota sztuki, Aleksandrze. Jeśli jednak nie poznasz życia, cóż będzie warta twoja sztuka? Jeden wiersz Racine'a, jedna strona Monteskiusza są naładowane treścią, dzieł przeciętnych, o których nieraz rozprawialiśmy. Jest to tylko czcza gadanina, bowiem autor nie zna istotnych praw rządzących światem i posługuje się jedynie gotowymi formułkami. Można wydać czterdzieści tomów skleconych ze zdań wykutych na pamięć, a tak pustych jak muszle zalegające na plaży po odpływie morza. Nie chwytaj nigdy za pióro, dopóki nie poczujesz, iż pamięć niezliczonych doświadczeń życiowych wzbierze fermentując niby drożdże w zaczynie chlebowym. Dopiero wtedy zdobędziesz świadomość i będziesz mógł stworzyć sobie styl, gdyż styl - nie zapominaj o tym - to dróżka kunsztownie wycięta przez gęsty las. Trzeba przede wszystkim zwiedzić las. A przewodnikiem jest tylko miłość. Miłość zdobywa dla nas klucz do tego świata. Jeżeli sam nie oddasz się całej - wszystko zostanie ci odmówione. Chciwiec nie posiada nic oprócz widma własnej chciwości. Gra, którą masz rozpocząć, to straszna i wspaniała gra. Grać będziesz przeciwko Bogu, pragnąc zdobyć to, co On tylko posiada: nieśmiertelność. A na zdobycie jej masz zaledwie kilka lat. Jedno wadliwe oblicze, omyłka jednej sekundy i staczasz się w przepaść zapomnienia.

- Mistrzu! - zawołał Girval. - Tyś wygrał swoją nieśmiertelność.

- Nie wiem. Nic nie wiem. Wątpię - rzekł Premery, wskazując dłonią lewą szufladkę biurka. - Oto moja jedyna mocna karta, jedyny mój atut/którego nie zdążę wykorzystać'. Mam jeszcze drugi w zapasie: ty nim jesteś. Jeżeli cię kiedyś

pamięć współczesnych zapisze jako triumfatora, ja przetrwam jako twój nauczyciel. Ale będziesz musiał twej sztuce poświęcić całe życie, nie zachowując nic dla siebie, dla swych egoistycznych rozkoszy. Miłość zamknięta w zbyt ciasnym kręgu osobistego szczęścia, uciechy zbyt mieszczańskie albo zbyt zwierzęce sprowadziłyby cię z drogi do wielkiego celu. Wystrzegaj się sielankowej cikliwości; to trucizna obezwładniająca ducha. Miłość to siła odśrodkowa, miłość nie ma wspólnego z filisterskim ciepłkiem i „zbożnymi” przyjemnościami domowego ogniska.

Ostatnie zdanie Premery'ego zasmuciło mnie. Czyż nie zdawał sobie sprawy, że oddawszy Elizę Girvalowi, teraz oto rzucał w duszę młodzieńca ziarno nieporozumienia, zarodek konfliktu, jaki istotnie później miał rozłączyć tych dwoje ludzi? Że przeciwstawianie sztuki małżeństwu było fatalną lekcją dla młodego artysty? Powodowała nim jakaś moc nieodparta. W jakim stopniu świadom był zła, jakie popełnił? Czyżby zwodził sam siebie mniemaniem, iż źródłem jego niebezpiecznych rad był kult życia duchowego? Czy też ulegał podszeptom zazdrości? A może ten wielki fanatyk eksperymentowania ryzykował jedno jeszcze, ostatnie - a tak okrutne - doświadczenie? Któż zdoła to rozstrzygnąć?

Premery zamilkł i patrzył na nas długą chwilę. W spojrzeniu tym nie było smutku. Wreszcie zakończył:

- Oto, co chciałem ci powiedzieć, drogi chłopcze. Reszty sam się nauczysz. Życzę ci, byś zaszedł dalej niż ja. Lecz miej się na baczności wobec zasadzek świata. Wszystko sprzysięgnie się, aby ci nie dać dotrzeć do celu. Dzieje ludzkości to galeria niedoszłych geniuszy i niedonoszonych arcydzieł!

Premery powstał. Pożegnaliśmy go, na próżno usiłując ukryć wzruszenie wywołane tą rozmową: tak silne bowiem

odnieśliśmy wrażenie, iż w niej Mistrz zawarł i powierzył nam swój testament.

Gdy ujrzałem telegram w zgrabiątych palcach mego dozorca, tknęło mnie jakieś złe przeczucie. Dwie czy trzy możliwości, jakich się obawiałem, przemknęły mi w myśli, lecz, jak zawsze bywa, tego, co się stało, bynajmniej nie przewidziałem.

Rozwinąłem papier: wspólnik mój, całkiem młody człowiek, zmarł w Hue od porażenia słonecznego. Wzywano mnie niezwłocznie do Indochin. Wspólnika darzyłem wprawdzie szczerym uznaniem i sympatią, lecz nic nas serdeczniej ze sobą nie łączyło. Toteż wyznaję, iż najbardziej przykro zrobiło mi się na myśl, że oto trzeba porzucić ten mały światek.

Wzruszenie na myśl o rozstaniu z moimi przyjaciółmi odkryło mi nagle, jak głęboko byłem do nich przywiązany. Starąłem się odrzucić myśl, iż perspektywa rychłego rozstania zawsze wzmacnia nasze uczucie.

Dotychczas byłem przekonany, że w ciągu sześciu miesięcy, jakie miałem jeszcze spędzić we Francji, całe moje przywiązanie do nich wyczerpie się niejako naturalnie. Teraz wszakże wiedziałem, że rozpacz moja dzisiaj czy później byłaby taka sama.

Z powodu brutalnego natłoku śpiesznych przygotowań do wyjazdu straciłem nawet przywilej beczynności, która by nieco złagodziła melancholię tych rozpamiętywań.

Była sobota, parostatek miał odpłynąć nazajutrz. Musiałem zwrócić się telefonicznie do dyrektora żeglugi, z którym byłem w stosunkach przyjaznych. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności jeden z pasażerów wskutek choroby zrezygnował w ostatniej chwili z wyjazdu, dzięki czemu na statku było jedno miejsce wolne. Zabezpieczywszy je dla

siebie i zarezerwowawszy miejsce sypialne w pociągu, zabrałem się gorączkowo do pakowania rzeczy.

Wyprawiwszy bagaże na dworzec, kazałem zawieść się na ulicę Champ - Lagarde, chciałem bowiem uściskać Joachima. Czekala mię przykra niespodzianka: Antoni oznajmij, że jego pan wyjechał.

- Czy wróci niedługo?

- O, nie! Pan jest w Paryżu, będzie na obiedzie u pani de Clemadienne i wróci dopiero w nocy.

Serce ścisnęło mi się boleśnie. Przez chwilę żałowałem, że tak łatwo znalazłem miejsce na pokładzie „Armand - Behic”, lecz nie sposób było już się cofnąć: i tak każdy dzień zwłoki zbyt fatalnie wpływał na bieg spraw, którymi nie tylko ja sam byłem zainteresowany. Musiałem pogodzić się z koniecznością wyjazdu bez pożegnania Joachima.

Wy tłumaczyłem to Antoniemu, donosząc mu, że tegoż wieczora wyjeżdżam do Marsylii, a następnie poszedłem do mieszkania mego przyjaciela z zamiarem zatelefonowania do Elizy oraz skreślenia kilku słów pożegnania.

Z mieszkania Hallencourtów odpowiedziała mi miss Trent: panna Eliza wyjechała konno na spacer do lasku w Jouy. Odpowiedź ta przyprawiła mnie o jeszcze większy smutek.

Antoni wprowadził mnie do pracowni. Zbliżyłem się do biurka, wziąłem arkusz papieru, następnie - nie bez wzruszenia połączonego z respektem - ująłem gęsie pióro, którym posługiwał się Premery.

Tuż przede mną, na dużej, świeżo zrobionej fotografii, widniała panna Hallencourt. Patrzyła na mnie wyzywająco. Jej dumny uśmiech jaśniał dziwnym blaskiem, płomienne spojrzenie było niczym złoty łuk z ognistą strzałą. Oto więc wszystko, co zostanie Joachimowi z jego miłości, pomyślałem melancholijnie. Ileż to razy widziałem Elizę tu albo w

rozpościerającym się za oknami ogrodzie. Ileż razy doznawałem wrażenia, iż gotów byłbym pójść za nią wszędzie - byle tylko móc się upajać żywą urodą i przesłodkim urokiem jej dziewczęcej naiwności! Wspominałem kolejno te godziny, w których Premery zwierzał mi stopniowo swą tajemnicę. Wszystko to było już skończone - tak dla niego, jak i dla mnie. Przeszłość ta, tak jeszcze bliska, oto już rozwiewała się w mglisty kształt młodzieńczego marzenia. I za chwilę wielki odpływ zabierze mnie i uniesie w samotność, ku codziennym troskom.

Gdy kiedyś powrócę do Francji, zapewne Joachim Premery będzie już spoczywał w grobie, a z miłości Elizy nikt nie pozostanie ślady!

Skreśliwszy kilka słów pożegnania, pochyliłem się nad biurkiem: pod przyciskiem leżało kilka luźnych kartek. Uniosłem tedy ów przycisk, aby dołączyć do nich swój list.

Odłożyłem przycisk na miejsce i opuściłem na zawsze siedzibę Joachima Premery'ego.